

Kartki z życia filmowca. Michał D. Adamski.



Michał D. Adamski.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Jest pan filmowcem-pasjonatem. Widać to w pana filmach, w bogactwie ich treści, w chęci utrwalenia zjawisk ważnych i często niepowtarzalnych, w rzetelnej dokumentacji historycznej. Skąd u pana ta wielka pasja, której jest pan wierny już ponad 30 lat?

Michał D. Adamski:

Myślę, że przyczyn tej pasji należy się doszukać we wszystkim,

co przeżyłem podczas II wojny światowej i po wojnie. Muszę o tym szerzej opowiedzieć.

Moje dzieciństwo w Sieradzu i formalną edukację przerwała wojna w 1939 roku. W wieku trzynastu lat, parę dni przed Wielkanocą 1942 roku, zostaliśmy wraz z całą rodziną deportowani przez żołnierzy niemieckich z rodzinnego domu i wywiezieni do niewolniczej pracy w Niemczech. Zmuszony byłem do ciężkiej pracy jako dorosły, wśród obcych, zdany nieraz na kaprysy okrutnych niemieckich majstrów i wciąż niedożywiony. Pracowałem najpierw u niemieckiego bauera, po sezonie letnim przy karczowaniu lasu w górach Hartzu, a potem ostatecznie przeniesiony zostałem do fabryki w Sangerhausen w Saksonii. Moją walkę o przetrwanie fizyczne umilałem sobie snuciem fantastycznych marzeń, co będę robił po wyzwoleniu, gdy Niemcy przegrają wojnę, a ja powrócę do domu w Sieradzu w wolnej Polsce.

12 czy 13 kwietnia 1945 roku przyszło wyzwolenie, do Sangerhausen wkroczyły wojska amerykańskie. Ale radość nas – wyzwolonych z obozów niewolniczej pracy i obozów koncentracyjnych, była niestety krótkotrwała. Ponieważ po latach przerwy wznowiony został dostęp do komunikatów radiowych i polskich programów BBC, zaszokowała nas podawana tam wiadomość: Polskę “wyzwoli” Sowieci. W kraju trwają aresztowania AK-owców, bezsilnie protestuje prawowity

Rząd Polski w Londynie. Wkrótce ma być uznany przez naszych zachodnich sprzymierzeńców, Anglię i Stany Zjednoczone – Ludowy Rząd Jedności Narodowej – kukiełkowy twór Stalina. Przyjeliśmy to jak nową Sowiecką okupację Polski. Wobec tego większość z nas – wyzwolonych z obozów i uwolnionych od niewolniczej pracy w Niemczech, doświadczonych przez ostatnie 5 lat prześladowaniami pod okupacją totalitarnych rządów hitlerowskich Niemiec, mając w perspektywie niemniej okrutną, okupację stalinowskiej Rosji, zdecydowała się nie wracać do Ludowej Polski. Podobnie zdecydowano we Włoszech lub Anglii, wielu żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, teraz już niepotrzebnych sprzymierzeńcom i zdemobilizowanych.

Nazwani uchodźcami, osobami bez kraju, zgromadzeni w wielkich obozach D.P. (czyli obozów dla **dipisów** od ang. *displaced persons* – osoby przemieszczone , przyp. red.) , zostajemy w zachodnich Niemczech. Większość z nas wegetuje przez parę lat. Niektórzy zmuszeni beznadziejnością życia i brakiem perspektyw wrócili do “bierutowskiej Polski”. Jednak ja, wraz z szeregiem innych młodych osób, którzy znaleźli się w podobnej sytuacji, wykorzystujemy ten czas, aby wrócić do szkoły. Na terenie obozu D.P. Durzyn-Wildflecken w Bawarii w przyspieszonym tempie zrobiłem kilka klas gimnazjum. Po roku wyjechałem do Esslingen, k. Stuttgartu, gdzie w budynku miejscowej niemieckiej Politechniki od października 1945 roku zaczęła działać Polska Wyższa Szkoła Techniczna,

zorganizowana przez wyzwolonych z niemieckich obozów polskich naukowców. Zostałem tam przyjęty na semestr wstępny inżynierii cywilnej.

W szkole tej poza semestrem wstępnym, z przewidywanych do dyplomu sześciu semestrów, ukończyłem zaledwie trzy dalsze semestry. Od wyzwolenia tak w obozach D.P., jak w naszej szkolnej bursie na studiach przez jakieś dwa lata nieźle utrzymywała nas UNRA. Po sierpniu 1947 organizację tę rozwiązano, opiekę nad uchodźcami przejęło IRO, której głównym celem stało się rozładowanie problemu D.P. w Zachodnich Niemczech i najlepiej wysłanie wychodźców wschodnioeuropejskich ponownie do ich własnych krajów pod panowanie Sowietów. Zaczęto więc „przykręcać śrubę”. Ze względu na różne następujące potem szyskany – wyrzucenie nas z bursy czy akademika oraz ostro pogarszające się warunki utrzymania, a przede wszystkim brak pieniędzy na jedzenie, zmuszony byłem zrezygnować z czwartego semestru PWST w Esslingen i zacząłem się starać o wyjazd jednym z pierwszych transportów na emigrację do Kanady.

Po wylądowaniu w roku 1948 r., jako 20 letni imigrant bez znajomości języka angielskiego, który przyjechał na roczny kontrakt fabryczny w małej miejscinie w Kanadzie, o powrocie na studia nie było mowy. Nawet gdy po trzech latach przeniosłem się do większego Toronto, gdzie był duży campus uniwersytecki i

parę wyższych uczelni, też mi się nie udało powrócić na studia, ponieważ utrzymywałem się z własnych zarobków. Poza tym był to okres nasilenia tzw. "zimnej wojny" i zarówno wśród spotykanych rodzimych Kanadyjczyków, jak i w prasie, radiu oraz miejscowej telewizji, zaczęły się pojawiać zarzuty, że Polska to kraj komunistyczny, pomagający sowieckim szpiegom, etc. Po tym, co osobiście doświadczyłem w czasie i po II wojnie światowej, po okropnej zdradzie naszego kraju w Teheranie i Jałcie oraz oddaniu Polski przez Roselvelta i Churchila pod jarzmo Stalina, te komentarze wydały mi się skrajną obelgą. Nie chciałem już być inżynierem, lecz pisarzem i autorem książek, który by światowemu czytelnikowi przedstawił niesprawiedliwość jaką wyrządzono Polsce.

Okazało się jednak, że nie umiem pisać ani po angielsku, ani po polsku. Po kilku nieudanych próbach publikacji moich "stories" zdecydowałem się pójść na kilkutygodniowy kurs filmowy na Uniwersytecie York. Film wydawał mi się bardziej odpowiednim medium, za pomocą którego będę mógł przedstawić swoją wizję świata. Po ukończeniu tego kursu swoim ręcznym 16 mm. Boleksem, ze znacznym uszczerbkiem ciężko zarobionych funduszy, zrealizowałem mój pierwszy, ponad godzinny film w języku angielskim: "The Spirit of Poland". Okazał się jednak „kinematograficznie” słabym i dalekim od "hиту" i nie tylko widzowie, ale po pewnym czasie i ja nie chciałem go już oglądać.

Ale po pewnym czasie nabrał pan wprawdy i teraz ma pan już na swoim koncie duży dorobek, a pana filmy ogląda się z wielkim zainteresowaniem. Otrzymał pan też wiele nagród (np. nagrodę na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Animowanych ASIFA w Nowym Jorku w 1977 r. i grant z Ontario Arts Council), jest pan członkiem Toronto Movie Club, Międzynarodowej organizacji ASIFA i CO-OP filmowej itd.

Tak to prawda, choć o moim członkostwie w Toronto Movie Club, Międzynarodowej Organizacji ASIFA i CO-OP mogę powiedzieć w czasie przeszłym, gdyż obecnie nie płacę składek i oficjalnie członkiem już nie jestem. W roku 1975 otrzymałem jedyny grant z Ontario Arts Council na zrobienie filmu, a w roku 1977 nagrodę na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Animowanych ASIFA w Nowym Yorku za Film "Mery Christmas". Potem jeszcze szereg mniej ważnych nagród za najlepsze filmy roku z Toronto Movie Club, z Canadian International Film Festival w Ottawie i Society of American Amateur Cinematographers, a ostatnio w roku 2004 nagrodę od Canadian National Film Board za najlepszy amatorski krótki film "Toronto Parks Rhapsody". Niemniej jednak z biegiem lat wysyłanie filmów na festiwale, uważam za marnowanie czasu.

Na czym polega praca niezależnego producenta filmów dokumentalnych?

Przede wszystkim na odnalezieniu odpowiedniej formuły czy tematu do filmu, który nie tylko pozwoli twórcy przekazać jego obserwacje i uczucia, ale też uczyni zapis na taśmie przemawiającym do przyszłych widzów i nabywców.



Michał D. Adamski.

Pana filmy dotyczą różnych obszarów tematycznych. Bardzo ważnym obszarem jest Polska historia, poszukiwanie śladów polskości w Kanadzie (a także w Wilnie na Litwie). Powstał też film o deportacji 1.5 miliona

Polaków z Polskich Kresów na Syberię w latach 1939-41, p.t. "Rescued from Death in Siberia". Odszukał pan naocznych świadków i zapisał na taśmie filmowej bezcenny materiał. Proszę opowiedzieć o tym filmie, jego zamyśle i zamierzeniu.

Film przedstawia osobiste przeżycia kilkunastu osób wywiezionych na Syberię i właściwie skazanych tam na powolną zagładę. Jednak kaprys losu sprawił, że zostali cudownie uratowani. Tym kaprysem był napad Niemców na Sowiecką Rosję w roku 1941 i w konsekwencji Pakt Sikorski - Majski. Co mnie skłoniło do realizacji tego filmu? W Toronto osiedlilo się setki Polaków, cywili i byłych żołnierzy Polskiego Drugiego Korpusu gen. Andersa we Włoszech, którzy przeszli przez Sowiecką gehennę. Więc temat ten aż się prosił o podjęcie.

Proszę opowiedzieć o ludziach, do których pan dotarł podczas kręcenia filmów o śladach polskości za Oceanem.

Jednym z najciekawszych osób jakich udało mi się sfilmować był Stanisław Krzysztof Jasiński. Występuje on w moim filmie "Rescued from Death in Siberia" i w reportażu o nim "Od Imigranta do Milionera". Jako 17-letniemu młodzieńcowi udało się uciec z Syberii. Niedługo po tym, z domu w okolicach Krosna, został wywieziony do pracy niewolniczej w Niemczech. W roku 1947 wrócił do Polski, skończył studia inżynierskie, został

kierownikiem zespołu, który projektował pierwsze polskie koparki. Za swe przemysłowe dokonania został w Belwederze odznaczony przez Władysława Gomułę orderem Polski Ludowej. Ale potem sytuacja się odwróciła. Zagrożony aresztem za wyrażenie pewnych krytycznych opinii o partyjnych osobistościach, musiał uciec wraz z żoną na Zachód. Przyjechał bez grosza do Kanady. Ciężką pracą przez dwadzieścia lat dorobił się dużej fabryki produkującej specjalistyczne maszyny i został kilkakrotnym milionerem. Był też wielkim filantropem, przekazał na cele dobroczynne parę milionów dolarów. Umarł na raka w wieku 74 lat.

Drugi obszar pana filmowych działań, to filmy krajoznawcze pokazujące piękno Kanady, Polski, Europy, różne ciekawe obiekty historyczne i architektoniczne, mozaikę kulturową, a także bogactwo przyrody. Te filmy też mają bogate tło historyczne.

Historia zawsze mnie interesowała i filmując jakieś miasta czy kraje uważam za konieczne, aby nawiązać do przeszłości, pokazać jak dany obszar się rozwijał pod względem i gospodarczym i kulturowym, kto tam mieszkał i jak żył, w jakie historie polityczne był uwikłany itd. Tak samo odnoszę się do przyrody i jej praw.

Czy któryś z tych filmów jest pana ulubionym?

Lubię filmy, które poza pięknym wizualnym materiałem i udanym technicznym wykonaniem przemawiają jeszcze do widza swoją treścią. Z filmów w mojej realizacji uważam za najbardziej udane: "Warsaw, Past and Present", "For Your Freedom and Ours", "Rescued from Death in Siberia " i "The Betrayal of Poland".

Czy kręci Pan na raz kilka filmów na różne tematy, czy w danym momencie zajmuje się Pan tylko jednym?

Wolę koncentrować się na jednym temacie. Niemniej jednak nie zawsze mi się to udaje. Gdy nie mam wystarczającego materiału do filmu, nad którym w danym momencie pracuję, a tymczasem uzyskam płacone zamówienie na łatwiejsze do zrealizowania tak zwane "Events film", np. sfilmowanie jakiejś uroczystości, akademii, czy ważnego odczytu, odkładam nieraz pracę nad filmem, którego montaż i opracowanie zajmuje mi często miesiące, na późniejszy czas i przechodzę do pracy nad bardzo pilnym i z reguły łatwiejszym tematem.



Z Kamera przez Kanadę **Atlantyckie i Centralne Prowincje**

Zwiedzamy Kanadę od historycznej francuskiej fortecy Louisburg w Cape Breton, N.S. poprzez Wyspę Księcia Edwarda, Nową Brunawick, półwysep Gaspé, prowincje Quebec i Ontario aż do wodospadów Niagary i Toronto.

Filmujemy sławne turystyczne szlaki i mało znane piękne zakątki. Chodzimy po polach dawnych bitew i odkrywamy historię Kanady i jej pierwszych pionierów. Odwiedzamy stare forty i nowoczesne miasta Halifax, Saint John, Fredericton, Quebec, Montreal, Ottawa, Toronto i szereg mniejszych uroczych miejscowości jak Niagara on the Lake i Ontarijskie Kaszuby.

Kamera i Komentarz: Michał Adamski

Współpraca: Sabrina Adamska



MDA VIDEO PRODUCTIONS

TORONTO, ON, CANADA

Tel. 416-423-3726

Website: www.mdavideo.com

E-Mail: madamski@sympatico.ca

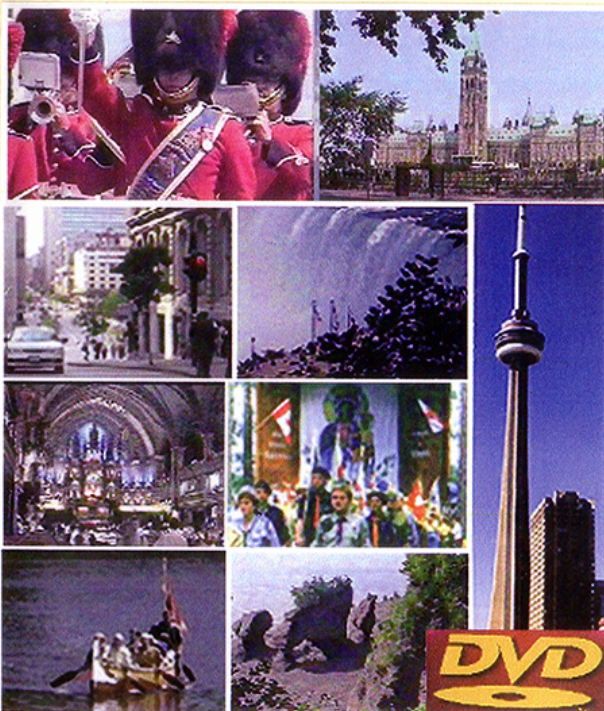


Z Kamera przez Kanadę I

105 min.

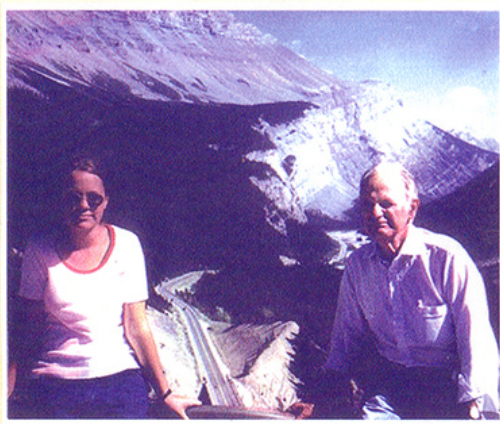
NTSC

MDA DVD Collection



Z Kamera przez Kanadę

Atlantyckie i Centralne Prowincje



Z Kamera przez Kanadę

Cześć II, Zachodnie Prowincje

Zwiedzamy zachodnie cztery prowincje Kanady. Od Fort Williams w pn. Ontario do Victorii w Brytyjskiej Columbi. Nowoczesne miasta jak Winnipeg, Regina, Calgary, Vancouver, Victorie; stare forty Northwest i Hudson Bay Co. i interesujące farmerskie osiedla. Przejazdźmy przez prerie, majestatyczne Góry Skaliste i piękne narodowe parki, Banff, Lake Louise, Jasper i chodzimy po Athabasca glacier. Odkrywamy historie tych prowincji i ogromny wkład w ten kraj jej pierwszych pionierów, Indian, Metysów i imigrantów różnych narodowości. Zaglądamy do jedynego polskiego muzeum osadnictwa w Cooks Creek, olbrzymich ukraińskich świątyn i chińskich "chinatewns" z pięknymi ogrodami Dr. Sun Yat Sen. Razem 1 godz. 38 min. oryginalnych krajobrazów i ciekawych informacji o zachodniej Kanadzie.

*Kamera i Komentarz: Michał Adamski
Współpraca: Sabrina Adamska*



**MDA VIDEO PRODUCTIONS
TORONTO, ON, CANADA**

Tel. 416-423-3726

Website: www.mdavideo.com

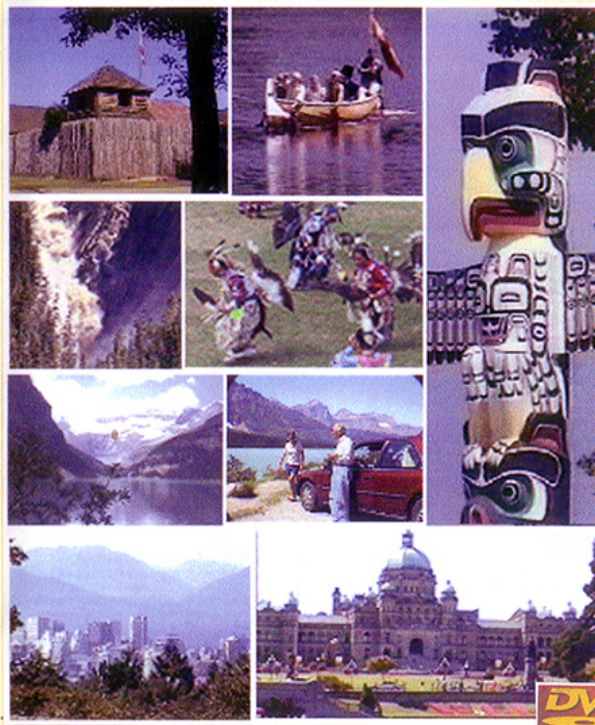
E-Mail: madamski@sympatico.ca

Copyright MDA Video Productions



Z Kamera przez Kanadę II

MDA DVD Collection



98 min.

NTSC

Z Kamera przez Kanadę

Cześć II, Zachodnie Prowincje

Filmy na jaki temat chciałby pan jeszcze nakręcić?

Mam na warsztacie kilka zaczętych tematów. Film o Dolnym Śląsku, Polskie Zamki, Polskie Pomorze. Również w planach film o Lwowie, skąd niedawno powróciłem z wizyty. Mam także w zamyśle ogólny krajoznawczy film o Polsce. Zebrałem też sporo materiału na film o Meksyku. Ale ze względu na zaawansowany już wiek i moje zdrowie, nie wiem czy wszystkie te projekty doprowadzę do końca.

Do kogo są skierowane pana filmy i gdzie je pan pokazuje?

Filmy w języku polskim kieruję do polskiego widza „at large”. Czasami w urawkach dostają się do telewizji. Okresowo pokazuję je także w salach SPK w Toronto, w London - Ontario, w Welland i innych polskich skupiskach. Ale największy oddźwięk wzbudzają moje filmy z narracją angielską wśród młodszeo, drugiego i trzeciego pokolenia pochodzenia polskiego, wychowanego już w USA, Angli, Kanadzie, Australii, Nowej Zelandii. Zamawiane na dyskach lub kasetach przez moją *website* takie filmy jak: “The Betrayal of Poland”, “Rescued from Death in Siberia”, “For Your Freedom and Ours”, w archiwalnym metrażu, prezentują fragmenty oryginalnych wypadków i naświetlają zawiłości polskiej burzliwej historii z XX wieku, mówiącemu już tylko po angielsku nowemu pokoleniu. Za te filmy na DVD dostaję przez e-mail dziesiątki pochlebnych uwag od ludzi polskiego pochodzenia z całego anglojęzycznego świata. A okazyjnie również z Południowej Afryki, Holandii, Estoni i Izraela. Czasami z Polski przez Internet dostaję również prośbę o jeden z moich filmów. Np. ks. proboszcz parafii z okolic Białegostoku napisał do mnie, że odkrycie w Internecie i obejrzenie mojego filmu o Wilnie było dla niego i jego parafian pochodzących z Wilna wielkim wydarzeniem. Przez parę lat bowiem szukał w Polsce bezowocnie podobnego filmu i nie mógł znaleźć. Zwrócił się też do mnie maturzysta z Konstancina pod Warszawą z prośbą o film na temat Polonii Kanadyjskiej.

Filmy o polskich dziejach XX wieku prezentuję także gratisowo

dla różnych uczelni, uniwersytetów i bibliotek. Natomiast Miejska Biblioteka w Toronto już od lat corocznie zakupuje ode mnie szereg moich dokumentalnych filmów dla swoich dwudziestu filii. Podobnie większość moich filmów nabywa już regularnie Instytut i Biblioteka Polska przy Uniwersytecie McGill w Montral.

Wywiad był przeprowadzony w 2006 r. Michał D. Adamski zmarł w 2015 r.

Filmy Michała D. Adamskiego w języku polskim:

Część 1. "Z Kamerą przez Kanadę". Część 1, Atlantyckie i Centralne Prowincje.

Część 2, Zachodnie Prowincje. Film piękno i dzieje Kanady od Atlantyku po Pacyfik.

„Za Naszą i Waszą Wolność” – 50 lat walki o Wolną Polskę. Lata 1939 – 1989 przedstawione w oryginalnym, archiwalnym metrażu.

„Napad Niemiecko – Sowiecki na Polskę” – wrzesień 1939.

„Józef Piłsudski i Druga Rzeczpospolita” – lata 1918 – 1939.

„Długi Marsz do Wolności” – dzieje AK i tragedia Powstania Warszawskiego.

„Strażnicy Polskiej Spuścizny” – film z kartek Polonii kanadyjskiej i amerykańskiej.

„Na Ontaryjskich Kaszubach” – reportaż z malowniczych Ontaryjskich Kaszub i organizacji Harcerstwa Polskiego w Kanadzie.

„Warszawa: Wczoraj i Dzisiaj”.

„Pomorze Gdańskie” – dzieje i piękno Gdańska i Pomorza.

„Zachodnie Pomorze i Wielkopolska” – podróż z kamerą od Świnoujścia po Poznań.

„Wilno, w poszukiwaniu polskiej spuścizny”

„Praga, Wiedeń i Budapeszt” – wideoreportaż z tych pięknych miast centralnej Europy poprzez wieki często połączonych z Polską wspólną historią.

„Archiwa Tajnej Policji w Polsce i Lustracja” – według Dr. Marka

Chodakiewicza.

„Fundacja Władysława Reymonta” – kto i kim jest w tej zasłużonej Fundacji Związku Polaków w Kanadzie.

„Wybaczyć nie Znaczy Zapomnieć” – krótki wideoreportaż z wizyty ks. Zdzisława Peszkowskiego w Toronto, Kanada.

Filmy z komentarzem w języku angielskim:

„For Your Freedom and Ours” – dokumentalny zapis 50-letniej walki o Wolną Polskę zakończonej paradą kombatantów w Wolnej Polsce w roku 1992.

„Rescued from the Death in Siberia” – dokumentalny film oparty na przeżyciach szeregu osób deportowanych w latach 1939 – 1941 ze wschodnich kresów Polski na Syberię.

„The Betrayal of Poland” – Polska najwierniejszy sojusznik zdradzony przez swych zachodnich sprzymierzeńców w Teheranie i Jałcie.

„Katyń Remembered” – poświęcenie Pomnika Katyńskiego w roku 1980 w Toronto i do obecnej chwili niestrudzone domaganie się Polonii świata o oficjalne ujawnienie sprawców tej ohydnej zbrodni.

„Krakow and the Carpathian Fothhills” - wideoreportaż z historycznej stolicy Polski i odkrywanie pięknych zakątków południowej Polski włącznie z Wieliczką i Zakopanym.

„Warsaw, Past and Present” - sceny z niepokonanej stolicy Polski jaka była i obecnie jest. Zniszczona wiecej jak Hiroszima i po upadku Powstania w roku 1944 rozkazem Hitlera skazana na wymazanie z map Europy i po wojnie ofiarna praca narodu ponownie odbydowana, obecnie znow zadziwia bogactwem historycznych zabytkow ktore jak mityczny Feniks powstały z popiołów.

“Cuba, In Search of the Sun”.

“The Taste of Italy “.

Gramatyka życia,

miłości i wiary.

Magda Stroińska i jej
poezja.



Magda Stroińska, fot. arch. prywatne.

Ks. prof. dr hab. Jan Walkusz

Zdumiewające i dość przedziwne – jak się okazuje – może być dojrzwianie słowa, czyli rodowód aktywności pisarskiej, odwołującej się do przeżyć, doświadczeń, marzeń i tęsknot. Wielce wymownym przykładem takiej konstatacji wydaje się twórczość Magdy Stroińskiej, autorki niniejszego tomu poezji.

Urodzona w Warszawie w rodzinie lekarza i bibliotekarki Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego, miała dwóch starszych braci przyrodnych z pierwszego małżeństwa ojca, którzy wraz z matką byli deportowani ze Lwowa do Kazachstanu, a po latach wojennej katorgi wrócili do Polski. Ich tragiczne dzieciństwo mocno wpisało się w pamięć i przeżycia Magdy Stroińskiej, która po ukończeniu Liceum Ogólnokształcącego Klemensa Gottwalda (dawniej i dziś – Stanisława Staszica) nie dostawszy się na wymarzoną Akademię Sztuk Pięknych, studiowała germanistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Po ukończeniu w 1979 r. studiów pracowała zrazu w Instytucie Lingwistyki Stosowanej, a następnie jako dydaktyk na germanistyce. W stanie wojennym zaangażowała się jako wolontariuszka w Komitecie Pomocy Więźniom Politycznym i ich Rodzinom, działającym przy kościele św. Marcina w Warszawie. W 1984 r. wyjechała na studia doktoranckie do Edynburga (Szkocja), gdzie w 1987 r. uzyskała doktorat z lingwistyki ogólnej, a następnie wraz z mężem wyjechała do Kanady.

Od 1988 r. pracuje na Wydziale Lingwistyki i Języków Obcych

Uniwersytetu McMaster w Hamilton (Ontario, Kanada) jako profesor filologii germańskiej i językoznawstwa. W latach 1996-2001 była też *senior research fellow* na Uniwersytecie w Kingston-upon-Thames w Wielkiej Brytanii. W badaniach naukowych zajmuje się lingwistyką kognitywną, socjolingwistyką, pragmatyką międzykulturową i lingwistyką komputerową oraz problemami starzenia się osób dwujęzycznych, a także propagandą totalitarną.

Opublikowała szereg prac, m.in. *Relative Points of View: Linguistic Representations of Culture* (Berghahn, 2001), *Exile, language and identity* (z Vikki Cecchetto, Peter Lang, 2003), *Unspeakable: Narratives of trauma* (z Vikki Cecchetto i Kate Szymanski, Peter Lang, 2014). Choć od ponad 30 lat mieszka w Kanadzie, zachowała bliskie związki z krajem pochodzenia i językiem polskim.

Magda Stroińska już jako uczennica szkoły średniej zafascynowała się - a był to wpływ niezwykle ideowej polonistki Bożeny Rożańskiej - poezją Gombrowicza, Schulza, Grochowiaka, Szymborskiej, Białoszewskiego, Witkacego, Poświatowskiej i Wojaczka. To właśnie owa nauczycielka języka polskiego odsłaniając przed uczniami czar prawdziwego słowa i ucząc odpowiedniego czytania poezji, potrafiła zarazem skutecznie stymulować pierwociny pisarstwa i wzniecać wiarę w sensowność takiego

działania. A choć był to istotny fragment kształtującego się u Magdy Stroińskiej procesu, wydatnie dopełniał go wpływ twórczości, głównie poetyckiej, przyrodniego brata Autorki, Andrzeja Czcibor-Piotrowskiego (1931-2014), który na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego wieku legitymował się już dość bogatym dorobkiem jako autor wierszy, artykułów, recenzji i przekładów m.in. z języka czeskiego, słowackiego, serbsko-chorwackiego, słoweńskiego, macedońskiego i angielskiego; on też wprowadził młodszą o pokolenie siostrę w klimat poezji T. S. Eliota. Cały ten splot oddziaływań wygenerował u dzisiejszej profesor filologii germańskiej i językoznawstwa z kanadyjskiego Hamilton potrzebę – jak sama wyznaje – zapisu ulotnych uczuć i myśli, wybranych i pomieszczonych w niniejszym zbiorze.

Cokolwiek by o tych tekstach powiedzieć i jakkolwiek je oceniać, trzeba wszak podkreślić, iż są one wyjątkowym i niezwykle autentycznym sposobem mówienia do drugiego człowieka, do siebie i do Pana Boga, wykreowanym koniecznością zwerbalizowania własnych uczuć i zgoła niepowtarzalnych przeżyć. Mowa taka i słowo mają bowiem to do siebie – upraszczając nieco zagadnienie – że są w stanie wygenerować całą gamę refleksji i niezwykle brzemiennych odczuć. A jeśli są w stanie zatrzymać pospieszną codzienność i wyjść poza orbitę przyciasnej tutejszości, znaczą coś więcej niż namiętne gadanie na użytek nijakiej publiczności, albowiem trącają o taką

kategorię słowa, która przemienia rzeczywistość, sięgając do jej metafizycznej głębi. Ponad wszelką wątpliwość właśnie tak należy spojrzeć na teksty Magdy Stroińskiej, zawierające w istocie głębokie i ważne przesłanie, i tak je trzeba czytać.



Głównym tematem poetyckiej refleksji pomieszczonych tutaj utworów jest człowiek w swej złożonej strukturze psycho-

fzycznej, jego świat wartości i kondycja intelektualno-duchowa widziana w perspektywie wielorakich doświadczeń. Niewątpliwym bogactwem w tak odbieranej przestrzeni jest słowo, które z jednej strony określa tożsamość człowieka, z drugiej zaś jest probierzem jego godności i wielkości, a zarazem tą wartością, której nie może być on pozbawiony.

Stąd – jak chce Autorka – rodzi się konieczność odpowiedzialności za słowo:

(...) biorę te słowa w palce
badam pod światło
sprawdzam czy dźwięczą jak kryształ (...)

wsuwam chyłkiem w kieszeń
mój skarb
moje bogactwo
mogę je zamknąć w dłoni
przemycić przez każdą granicę...

to dobrze
że ofarowujesz mi słowa
słów
nie można odebrać
(„słowa”),

potrzeba szukania płaszczyzny porozumienia i odnajdywania tego, co łączy, a co może dokonać się tylko dzięki słowu i dobrej woli:

nawet jeśli to prawda
że jest inne niebo
dla prawosławnych
i dla katolików
dzieli je co najwyżej las
ot, gęsty zagajnik

możemy się tam spotykać
zbierać grzyby i rajske jagody
odpocząć w cieniu
znużeni upałem

powiedz proszę że to prawda
dobry Panie Boże.
(„inne niebo”)

Skuteczność słowa zasadza się na dialogiczności, albowiem kierowane w stronę drugiego człowieka, wymaga – by uskutecznić swoją misję, a przez to stworzyć bardziej ludzką rzeczywistość – odpowiedzi. I tylko w takiej konfiguracji staje się możliwy, systematycznie wzbogacający się proces tworzenia

wiedzy, rodzący wiarę i pomnażający nadzieję:

Give me answer
to kill my curiosity (...)
give me faith
that is stronger than death
let me hope.
(„give me answer”)

Wiara zaś i nadzieja jako skutek należytego odczytania słowa i przyjęcia jego przekazu, a nade wszystko Słowa Objawionego, pozwalają głębiej zrozumieć siebie, zwłaszcza w kontekście wartości metafizycznych i nadprzyrodzonego przeznaczenia człowieka. W taki bowiem sposób dokonuje się proces szukania korzeni własnej tożsamości, który – jeśli być wiernym i uczciwym wobec siebie – może być najzwyklejszym pytaniem o Boga i Jego plany w stosunku do mnie i do świata. Czasami jest to „Pan Bóg – starzec siwobrody / z dobroduszną twarzą / naszego proboszcza”, innym razem obraz Boga ukształtowany w dzieciństwie, wzbogacony nadto treścią książek, wśród których jest „Sartre i ksiądz Twardowski / Boris Vian obok Witkacego...”, by ostatecznie dojść samodzielnie do intuicyjnego doświadczenia, dalekiego od naukowych teorii i filozoficznych tez, bo:

Bóg
pulsuje w moich żyłach wraz z krwią
wpływa lękiem pod czaszkę
rozlewa się falą chłodu pod skórą
wchodzi w słowa
powraca do mózgu
i przesuwa się cieniem
pod zaciśniętymi powiekami...
(„Bóg mieszka...”)

To głębokie doświadczenie Boga w naszej codzienności, i to nawet – jak wynika z egzemplarycznie tylko przywołanych tekstów – w najdrobniejszych przejawach życia, ma i musi mieć swoje konsekwencje już to w komplementarnym odczytywaniu zbawczego orędzia, już to w sytuowaniu własnej drogi i towarzyszących jej koniecznych wyborów w takiej optyce, by nie było rozdźwięku między przyjętym i wyznawanym systemem aksjologicznym a postępowaniem. Wprawdzie – co nietrudno dostrzec – świat i otoczenie zmieniają się, pięknieją – dzięki ludzkiemu wysiłkowi i niekonwencjonalnym rozwiązaniom – kościoły i świątynie, tylko Chrystus ukrzyżowany ciągle ten sam z tajemnicą śmierci i zmartwychwstania, choć przyodziały marmurem i złotem. Dobrze więc będzie, jeśli w tych wszystkich okolicznościach znajdzie się miejsce na pogłębioną refleksję i czas na pytanie o to, co w tym wszystkim jest ważniejsze: złota

rama i włoski marmur czy bolejący Chrystus rozpięty na krzyżu i pytający o człowieka? („remont u św. Jakuba”). Odpowiedź bynajmniej nie wydaje się łatwa, jeśli zważyć z jednej strony na „dramat wolnej woli”, z drugiej zaś na dzieło Opatrzności Bożej. Choć może kusić niekiedy droga na skróty i szukanie pozornego szczęścia, Bóg jako Dobry Ojciec cierpliwie i wciąż od nowa wskazuje bezpieczną drogę i czeka na każdy powrót, który tak naprawdę jest spotkaniem w miłości.

(...)

wiem, to tylko ja błędę
ty jesteś zawsze
w tym samym miejscu (...)

pozwalasz mylić drogę
ale kiedy zbliżam się do skraju urwiska
zatrzymujesz mnie
odwracasz uwagę od otchłani
szybko dorysowujesz nową ścieżkę
tuż u mych stóp

nie prowadzisz mnie
lecz czuwasz
a ja
na przełaj

uparcie wędruję do Ciebie
wiem przecież:
wierzysz, że dojdę
(„wierzysz, że dojdę”)

A miłość objawia się także w tym, że uświadamiamy sobie ogrom Bożego miłosierdzia, i... niestety, nasz egoistyczny formalizm. Nie sposób więc przejść obojętnie wobec modlitwy – poetyckiej refleksji Magdy Strońskiej, gdy wyznaje: „Wybaw nas, prosimy Cię o Jezu, od wszelkich nieszczęść przeszłych, teraźniejszych i przyszłych, a za przyczyną błogosławionej i zawsze chwalebnej Dziewicy, Twojej Rodzicielki Maryi, świętych Apostołów Piotra i Pawła i Aniołów, którzy Ciebie pod postacią chleba w Najświętszym Sakramencie uwielbiają, odpuść nam nasze winy i zbaw nas ode złego. Amen. Za co? Za tych kilka słów wyklepanych bezmyślnie raz na tydzień, gdy w odświętnych ubraniach przestępujemy z nogi na nogę, myśląc tylko o sobie? Po co?”.

Liryczna wypowiedź poetki-językoznawcy z Hamilton, choć zróżnicowana pod względem tematycznym, jest przede wszystkim pytaniem o człowieka, o te wszystkie wartości, które określają i wypełniają jego życie. Jest więc w niej – jak wskazano wyżej – odniesienie do Absolutu i treści metafizycznych, ale jest też pytanie o miłość, przyjaźń, sens życia, nieuchronność

przemijania, i wreszcie pogłębiona refleksja nad tajemnicą i koniecznością śmierci. Między innymi w utworze pt. *Pomiędzy miłość i śmierć*, dedykowanym pamięci Haliny Poświatowskiej w słowach:

(...)
umarłaś
ja uczę się dopiero
sztuki umierania (...)

rozbrzmiewa echo przekazu zarówno Jana Lechonia, jak i ks. Janusza St. Pasierba. Pierwszy z nich porównywał bowiem miłość ze śmiercią, bo: „Jedno wiemy tylko. I nic się nie zmienia / Śmierć chroni od miłości, a miłość od śmierci” („Pytasz, co w moim życiu...”), drugi natomiast mówił o tych, którzy odeszli na drugi brzeg, jako o tych, którzy dopiero żyją; to my powoli umieramy, a zmarli są zawsze od nas starsi o całe życie, a nawet o śmierć.

Ale nie brakuje też w tekstach Magdy Stroińskiej reminiscencji autobiograficznych, odnoszących się zwłaszcza do życia na emigracji i bliskich związków z tymi, którzy pozostali w kraju nad Wisłą, co wcale nie przeszkadza w permanentnym budowaniu uczuć, ponieważ miłość jest

ponadczasowa i ponadprzestrzenna. Stąd jakże wyraziste
wyznanie:

żyjąc w klatce
nabrałam lęku otwartych przestrzeni
i strachu
przed potrzebą jakiegoś wyboru
cóż
taka jest widać cena
za bezpieczne życie
(„Bezpieczne życie”)

albo w innym miejscu:

(...)
to nic
że nasze zegarki
wskazują inne godziny
i że kiedy ja kładę się spać
ty kończysz już drugie śniadanie
czas i miejsc
są tu bez znaczenia

wiem tylko jedno

że zostawiłeś otwartą furtkę
czekasz.
(„nocą...”)

Mimo że w obrazowaniu, metaforyce i konstrukcjach ideowo-artystycznych anonsowane tu utwory nie są wyszukane, niemniej stanowią autentyczne świadectwo i poetycką próbę rozrachunku ze sobą - przed sobą, przed innymi i przed Bogiem. Czegoś takiego nie można ograniczać, tym bardziej nie wypada z tym polemizować, zwłaszcza gdy mamy do czynienia z umiejętnością operowania słowem, a więc sztuką, której nie można się nauczyć. To trzeba po prostu czuć i nosić w sobie. Od strony prawideł genologicznych pomieszczone tu teksty należy zasadniczo lokować w ramach przyjętej konwencji. A to znaczy, że główny czynnik konstytuujący liryczny charakter wypowiedzi, czyli podmiot liryczny (tzw. „ja” liryczne) oraz sytuacja liryczna, określone konstrukcjami gramatyczno-językowymi, odpowiadają powszechnym wymogom.



Magda Stroińska, fot. arch. prywatne.

Choć Autorka z reguły stosuje podmiot, który ujawnia się w formie gramatycznego „ja”, co wydaje się być najwłaściwszym rozwiązaniem z racji prezentacji indywidualnych i subiektywnych przeżyć, refleksji, doznań oraz poglądów twórcy, odwołuje się nadto – rzadziej co prawda – do innych skonwencjonalizowanych typów podmiotu lirycznego. Chodzi zatem o podmiot mniej lub bardziej ukryty w przedmiotach i okolicznościach przedstawionych, co wcale nie wyklucza, przy widocznej ponad wszelką wątpliwość dyskrecji gramatycznej, zsubiektywizowanej treści utworu. Innym zaś razem jawi się on jako wyraźny partner drugiej osoby, czyli adresat wypowiedzi lirycznej, do którego kieruje swoje wyznanie bądź refleksje na wzór mowy potocznej, zakładającej kontakt interpersonalny. I na końcu wreszcie, zastosowany podmiot liryczny, próbując utożsamiać się z pewną grupą o identycznych poglądach, tożsamy wartościach czy doświadczeniach, uzewnętrznia owe uczucia, przy niemal

zupełnym zaniku form zindywidualizowanych, jakby w jej i własnym imieniu za pomocą gramatycznego „my” (np. „Wybaw nas...”, „remont u św. Jakuba”, „odchodzę...”). Ponad wszystko jednak dominuje w poezji Magdy Stroińskiej kategoria ujawnionego „ja” lirycznego, będącego od z góry czterdziestu lat powiernikiem Poetki, jej doświadczeń egzystencjalno-emocjonalnych oraz zapatrywań, którymi chce się podzielić w niniejszym tomiku.

Magda Stroińska, Gramatyka mojego języka, wybór, opracowanie i wstęp Jan Walkusz, Wydawnictwo Bernardinum, Pelplin 2017 r.

Cogitationes Aqua.

Jacek Gwizdka – fotografie.



Jacek Gwizdka urodzony w Łodzi naukowiec, pracuje na stanowym uniwersytecie w Teksasie w Austin (University of Texas at Austin) w School of Information, gdzie jest m.in. współdyrektorem laboratorium Information eXperience. W pracy naukowej bada interakcje człowieka z informacją i wyszukiwanie informacji przy użyciu technologii komputerowych. Jest jednym z pionierów w dziedzinie Neuro-Information Science, w której zajmuje się stosowaniem metod z psychologii kognitywnej i neuro-fizjologii człowieka w badaniach interakcji człowieka z informacją. W 2015 roku jako naukowiec o polskich korzeniach został wyróżniony przez Fundację Kościuszkowską:

Distinguished Fellow of the Kościuszko Foundation Collegium of Eminent Scientists.



Jacek Gwizdka at his workplace in the School of Information, University of Texas at Austin

Jacek Gwizdka od lat zajmuje się też fotografią. Tematami jego zdjęć są fragmenty architektury, odbicia światła na

powierzchni wody, splątane gałęzie drzew układające się w powtarzalną całość. Otrzymywane obrazy tworzą abstrakcyjne kształty i powierzchnie, przypominając złożoność struktur neuronów w mózgu.

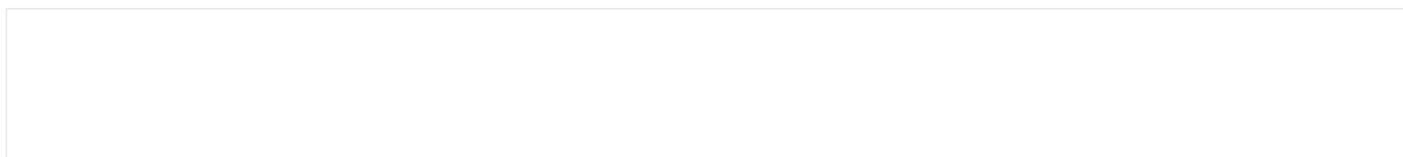
Od 1999 roku prezentuje swoje prace na wystawach w Polsce i w Kanadzie. Miał wystawy w Hart House na Uniwersytecie w Toronto (w Arbour Room i Hart House Art Gallery, gdzie jedna z prac otrzymała honorowe wyróżnienie), w Glenhyrst Art Gallery w Brantford, Ontario, Grimsby Public Art Gallery (Galeria kupiła jedną z prac do swojej kolekcji), w Fez Batik w Toronto (seria fotografii p.t. „Fluid Transformations & Moments”), w Club Lucky Gallery w Toronto (seria fotografii p.t. „Fluidscapes – Meditations of Light and Water”), w Centrum Kultury im. Jana Pawła II w Mississaudze w Ontario (seria fotografii p.t. “Musical Expressions”, przedstawiająca wybitnych muzyków jazzowych podczas gry), w L’Arte Café & Gallery w Toronto, w Galerii Pekao w Toronto, w Domu Nauczyciela w Łodzi (seria fotografii p.t. „Impresje”). Jacek Gwizdka brał też udział w znanym festiwalu kanadyjskich fotografów CONTACT w Toronto. Jego prace można też znaleźć w prywatnych kolekcjach w Kanadzie i Polsce.

Fotografie Jacka Gwizdki były publikowane w takich magazynach jak „Jazz Forum”, w miesięczniku kulturalnym „List oceaniczny” wydawanym jako dodatek do dziennika „Gazeta” w Toronto oraz

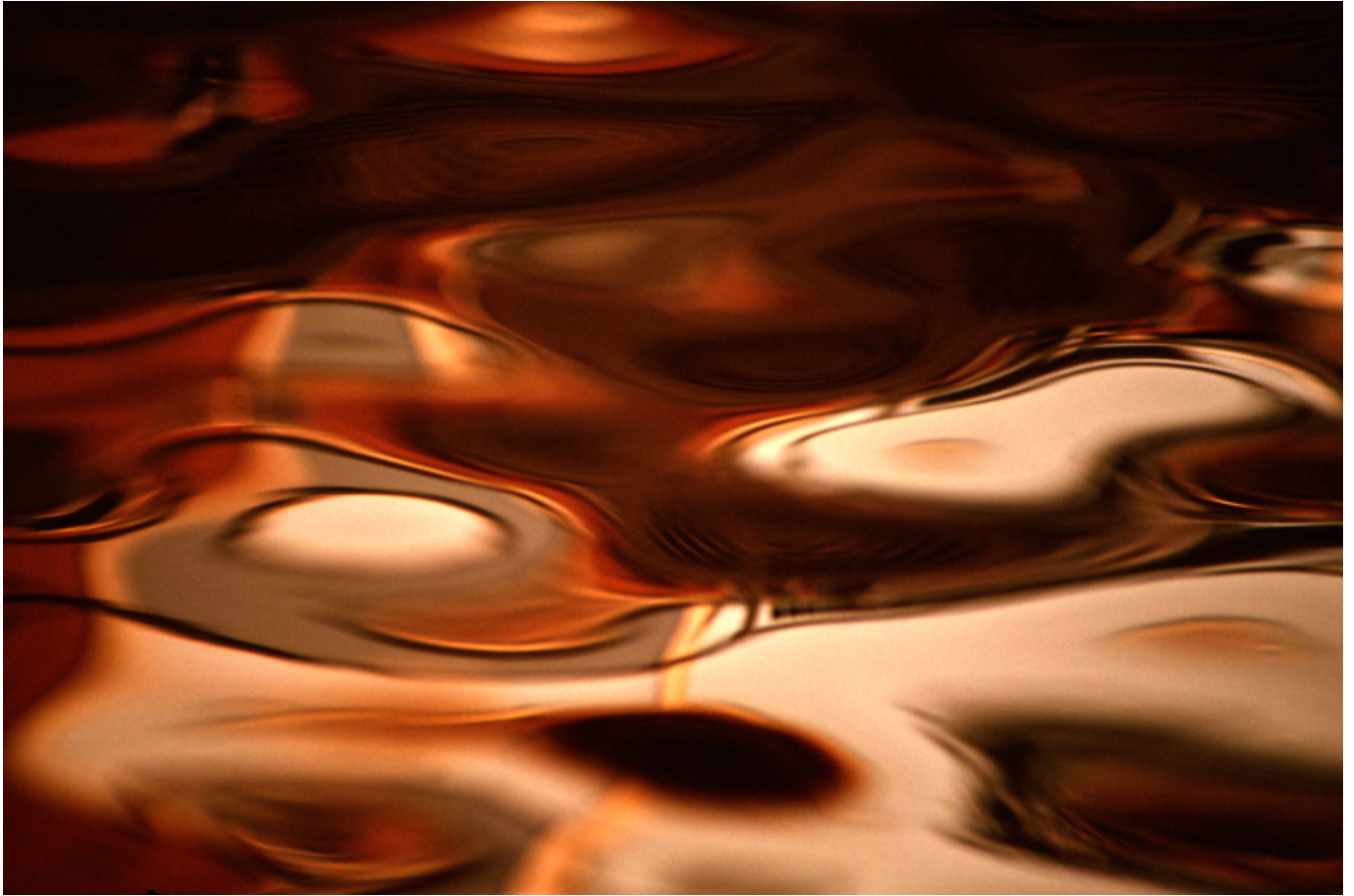
w głównym wydaniu „Gazety”, fotografie podróżnicze ukazywały się w „Polonii Kalifornijskiej” i „Dzienniku Łódzkim”. Ukazała się także seria pocztówek na których wykorzystane zostały fotografie Jacka Gwizdki pokazujące wybrzeże Morza Bałtyckiego, koło Karwi.

W 2003 roku słynna monachijska wytwórnia płytowa ECM użyła jego fotografii na okładkę płyty Stephen’a Hartke pod tytułem „Tituli / Cathedral In The Thrashing Rain”.

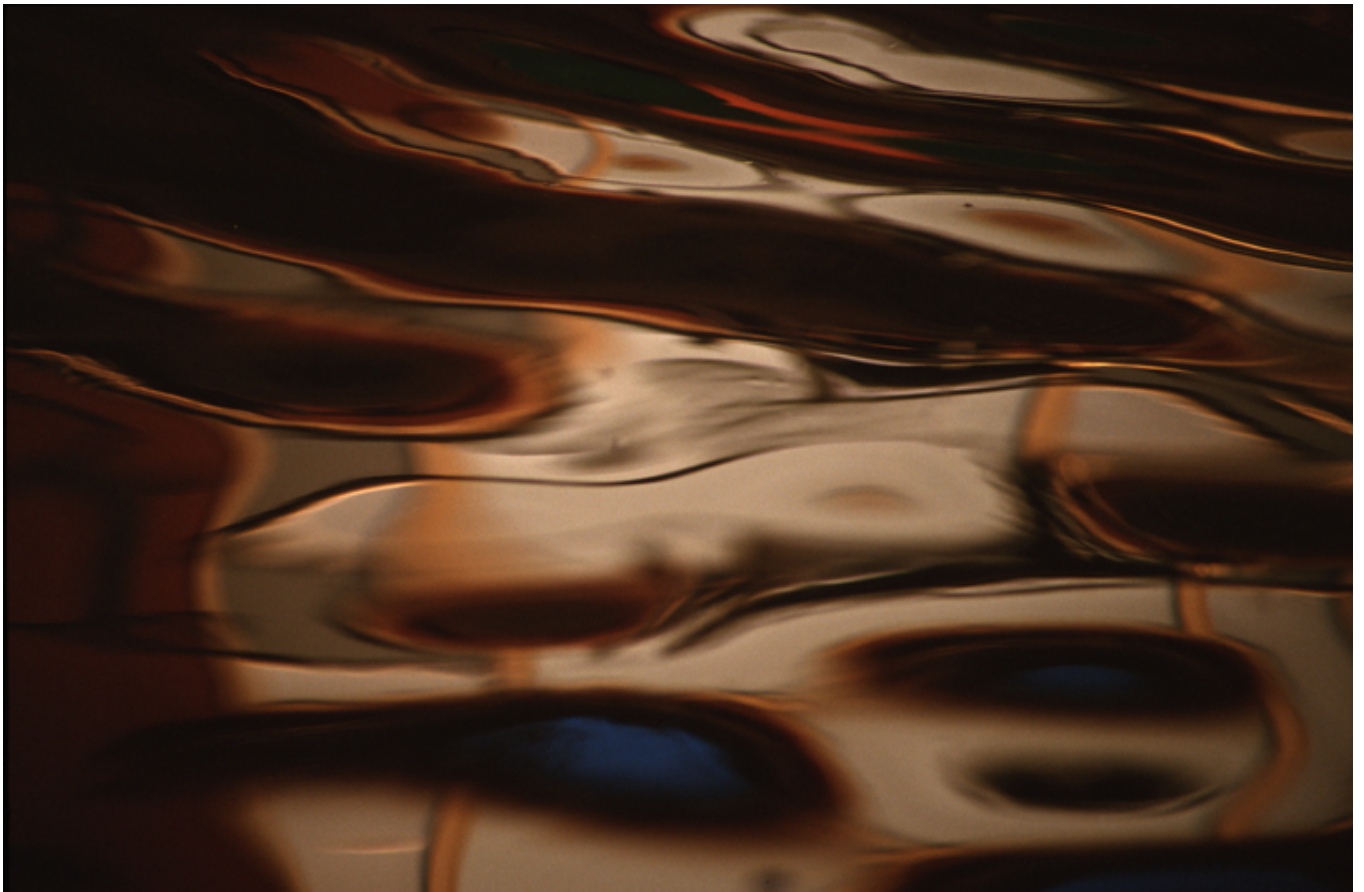
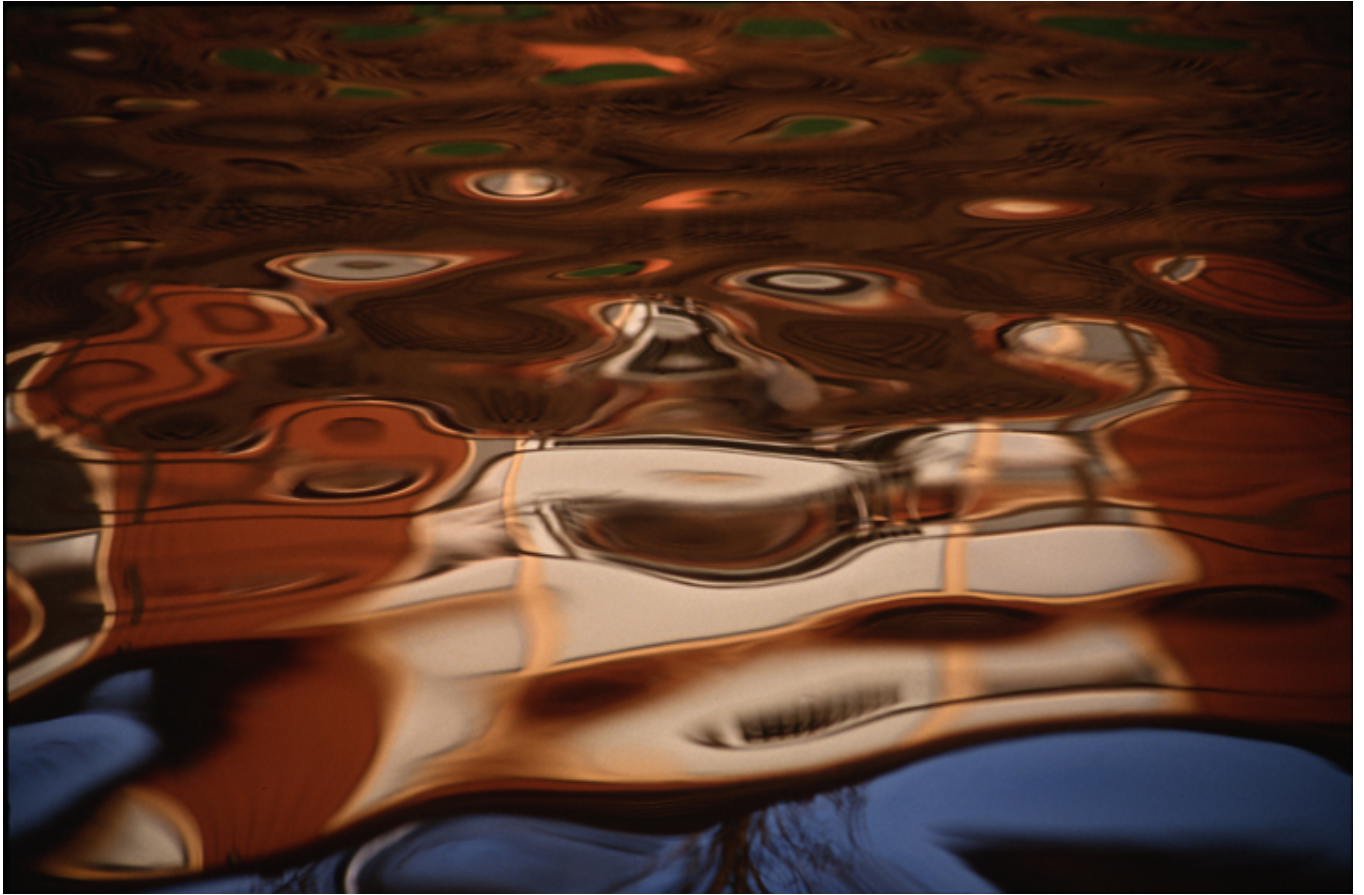
oprac. Joanna Sokołowska-Gwizdka



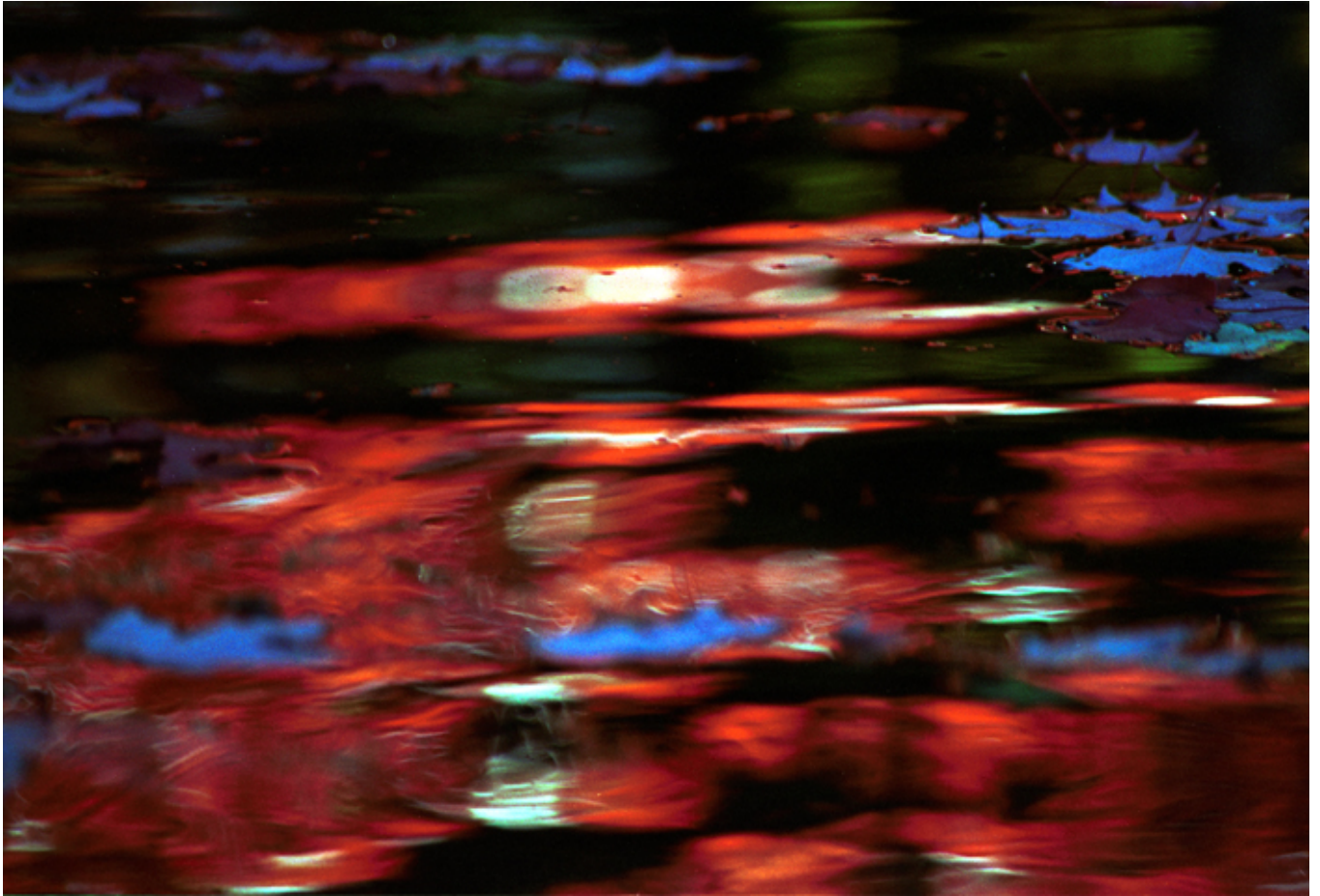
G a l e r i a

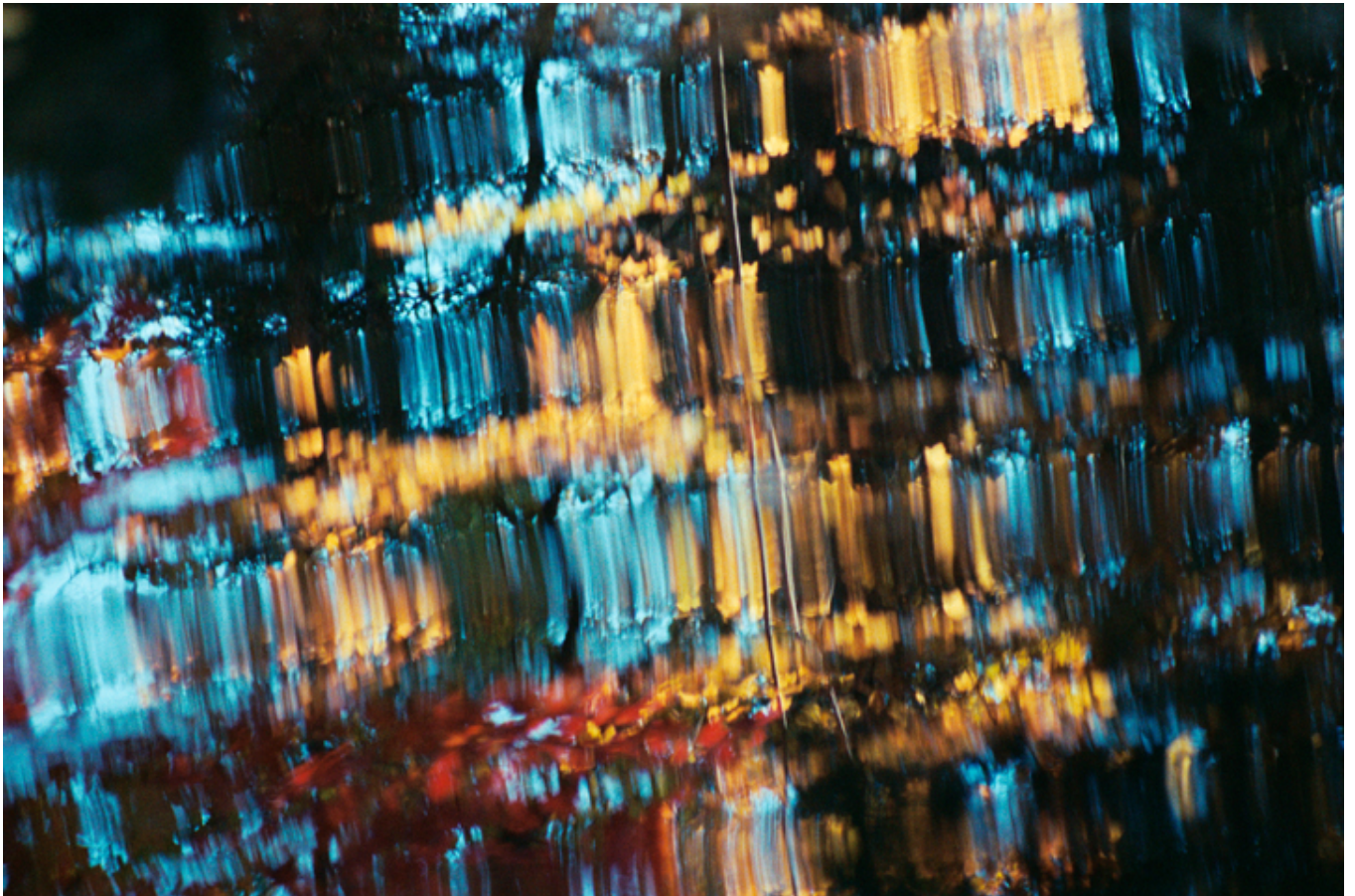


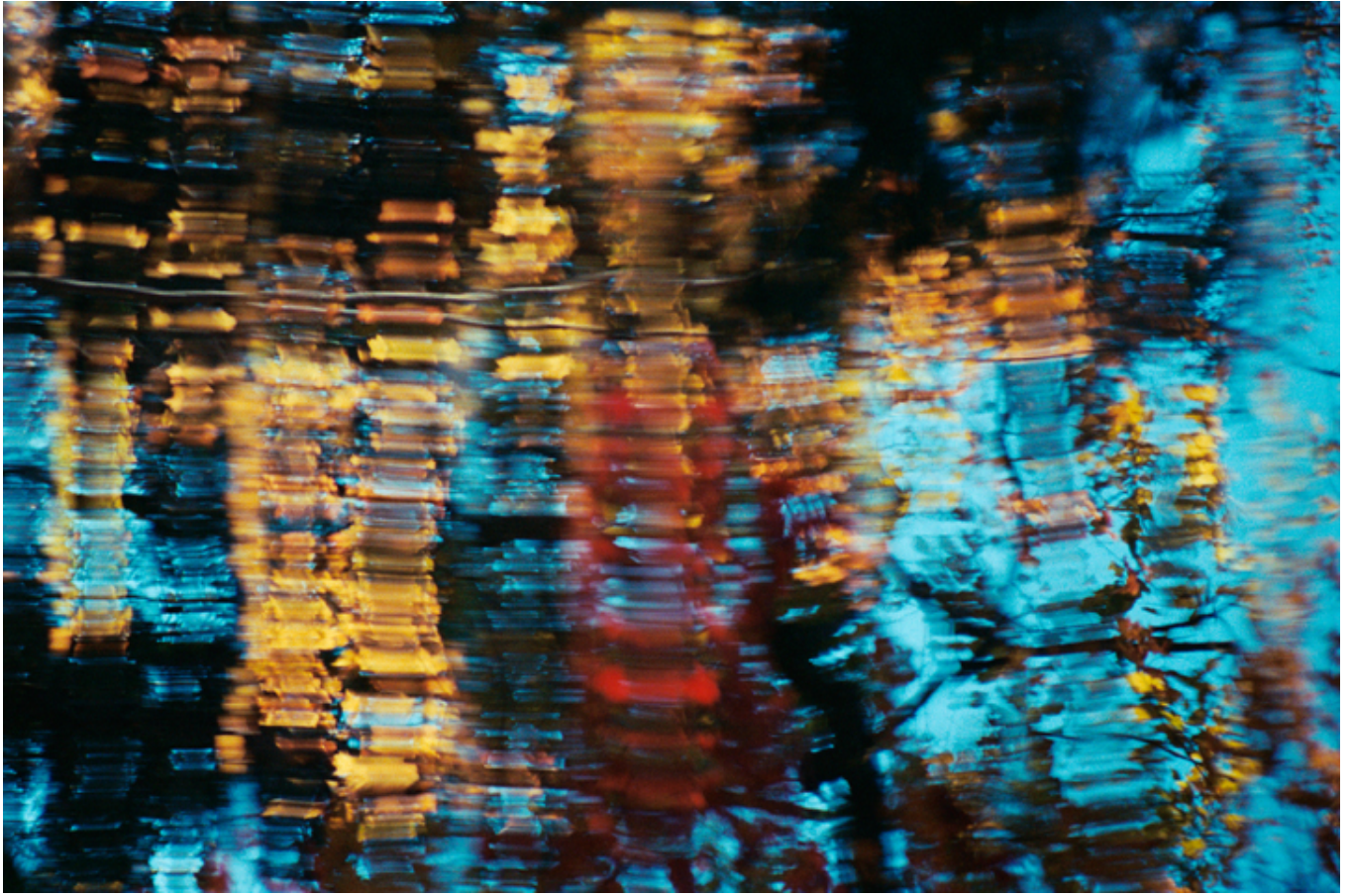








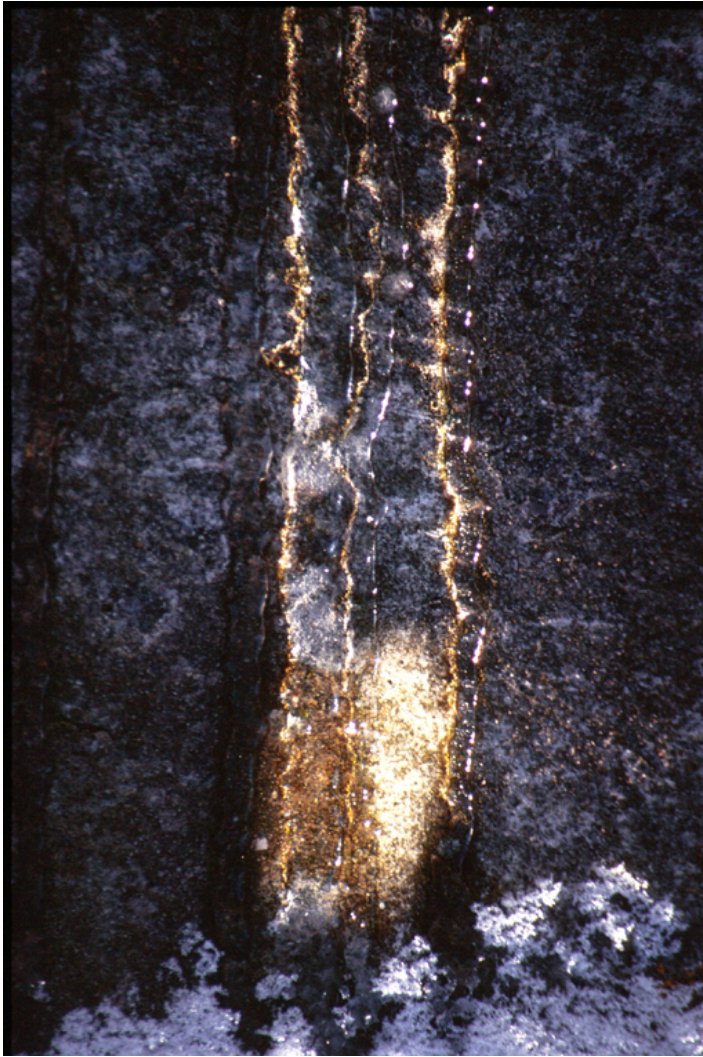






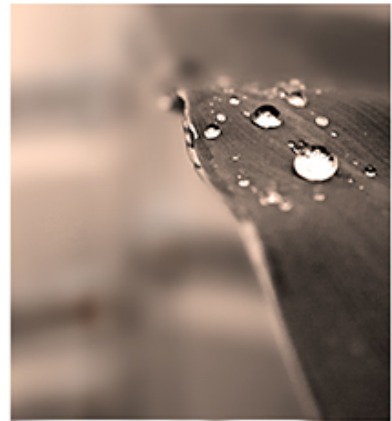


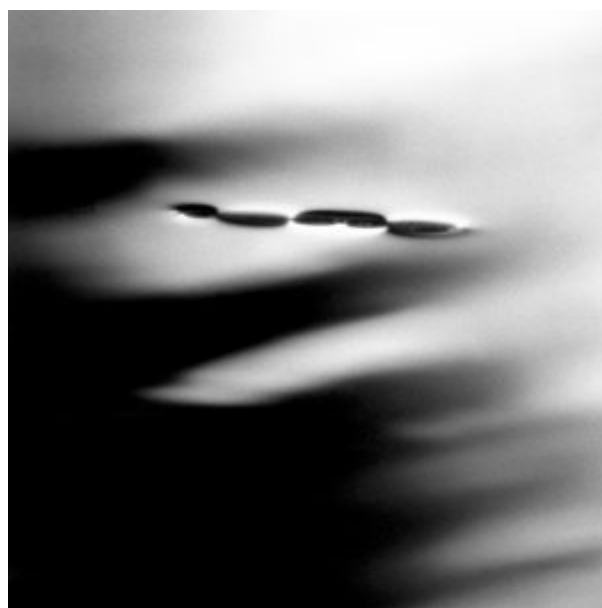












Cogitationes (łac.) - refleksy świetlne, myśli, medytacje. Aqua (łac.) - woda

Inna seria fotografii Jacka Gwizdki:

<http://www.cultureave.com/ramis-neuronis-jacek-gwizdka-fotografie/>

Fotografie Copyright Jacek Gwizdka. Zainteresowanych zakupem zdjęć prosimy o kontakt z redakcją.

Cogitationes Aqua.

Jacek Gwizdka – photography.



Jacek Gwizdka, a scientist born in Łódź, works at the state University of Texas at Austin (University of Texas at Austin) at the School of Information, where he is co-director of the Information eXperience (IX) laboratory. In his scholarly work, he explores human interaction with information and information retrieval using computer technologies. He is one of the pioneers of the new field of Neuro-Information Science, in which he

applies methods from cognitive psychology and human neurophysiology to the study of human-information interaction. In 2015, he was awarded by the Kościuszko Foundation: Distinguished Fellow of the Kosciuszko Foundation Collegium of Eminent Scientists, as a scientist with Polish roots.



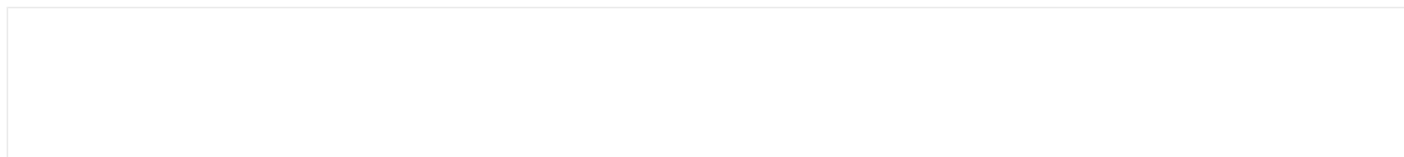
Jacek Gwizdka has been practicing photography for many years. The subjects of his photographs are fragments of architecture, reflections of light on the water surface, tangled tree branches forming a repetitive whole. The images form abstract shapes and surfaces, reminding the complexity of neuronal structures in the human brain.

From 1999, he has presented his works at exhibitions in Poland and Canada. He had exhibitions at Hart House at the University in Toronto (in the Arbor Room and Hart House Art Gallery, where one of the works received an honorary distinction), at Glenhyrst Art Gallery in Brantford, Ontario, Grimsby Public Art Gallery (Gallery bought one of the works for his collection), at Fez Batik in Toronto (photo series „Fluid Transformations & Moments”), at the Club Lucky Gallery in Toronto (series of photographs entitled „Fluidscapes - Meditations of Light and Water”), at the Cultural Center John Paul II in Mississauga in Ontario (series of photographs entitled „Musical Expressions”, presenting outstanding jazz musicians during the game), at the L’Arte Café & Gallery in Toronto, at the Pekao Gallery in Toronto, at the Teacher’s House in Łódź (series of photographs entitled ” impressions „). Jacek Gwizdka also participated in the well-known Canadian CONTACT photographers festival in Toronto. His works can also be found in private collections in Canada and Poland.

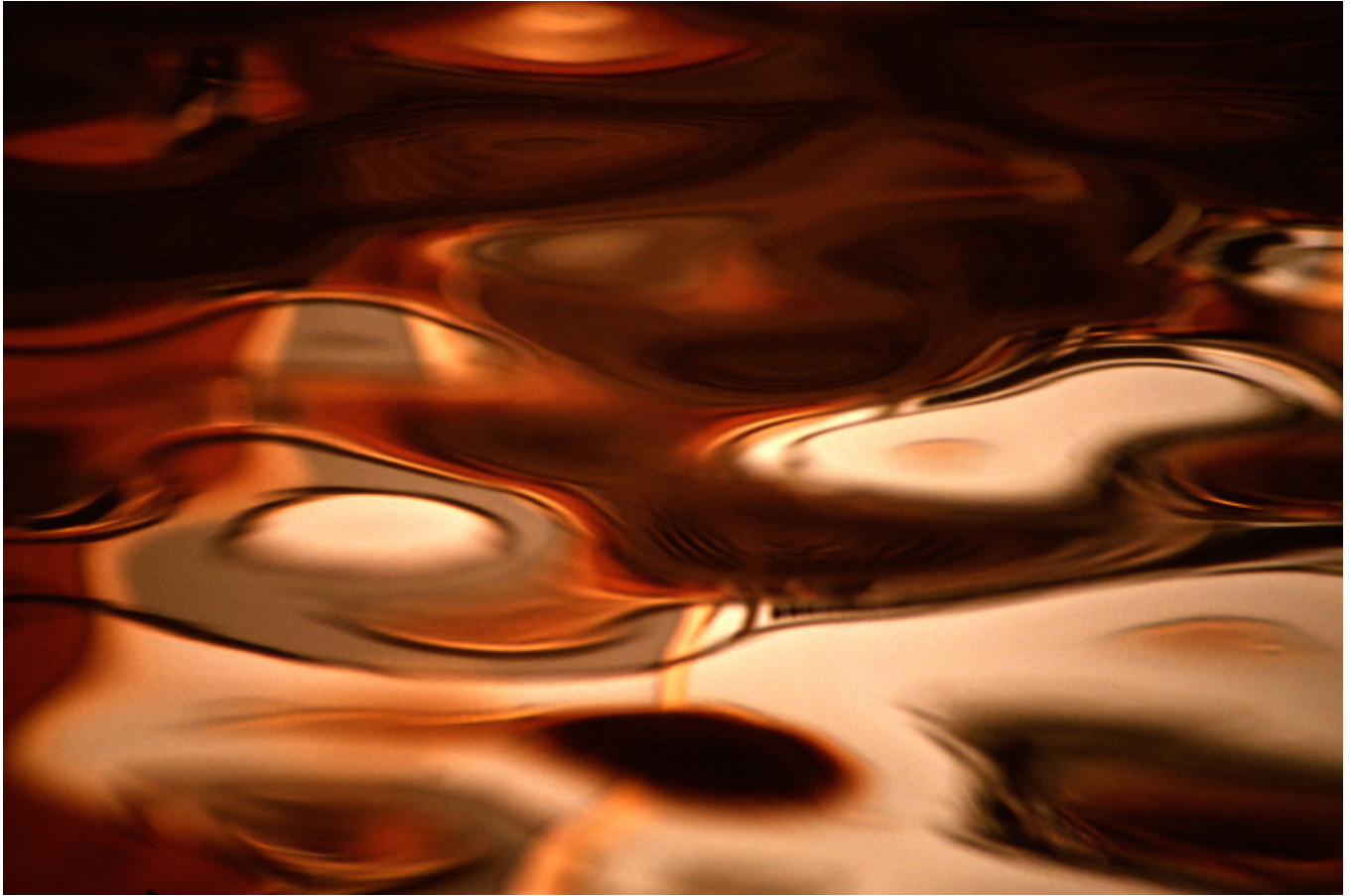
Jacek Gwizdka's photographs were published in such magazines as „Jazz Forum”, in the monthly magazine „Oceanic Letter” published as an addition to the main edition the newspaper „Gazeta” in Toronto, travel photographs appeared in „Polonia Kalifornijska” and ” Dziennik Łódzki. „ A series of postcards has also been published, on which photographs of Jacek Gwizdka were used to show the coast of the Baltic Sea near Karwia.

In 2003, the famous Munich contemporary music record label ECM used his photograph for the cover of the album by Stephen Hartke titled „Tituli / Cathedral In The Thrashing Rain”.

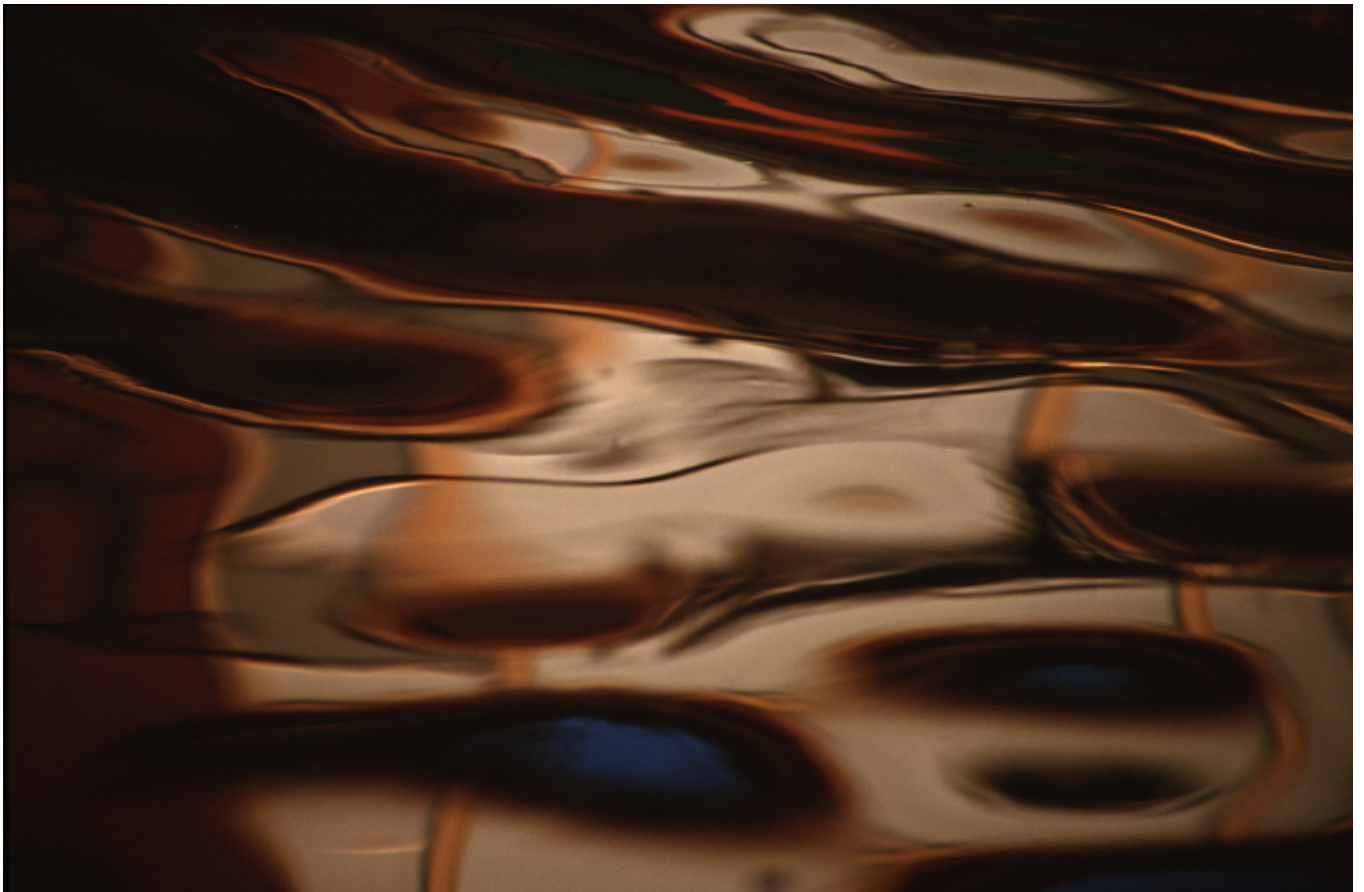
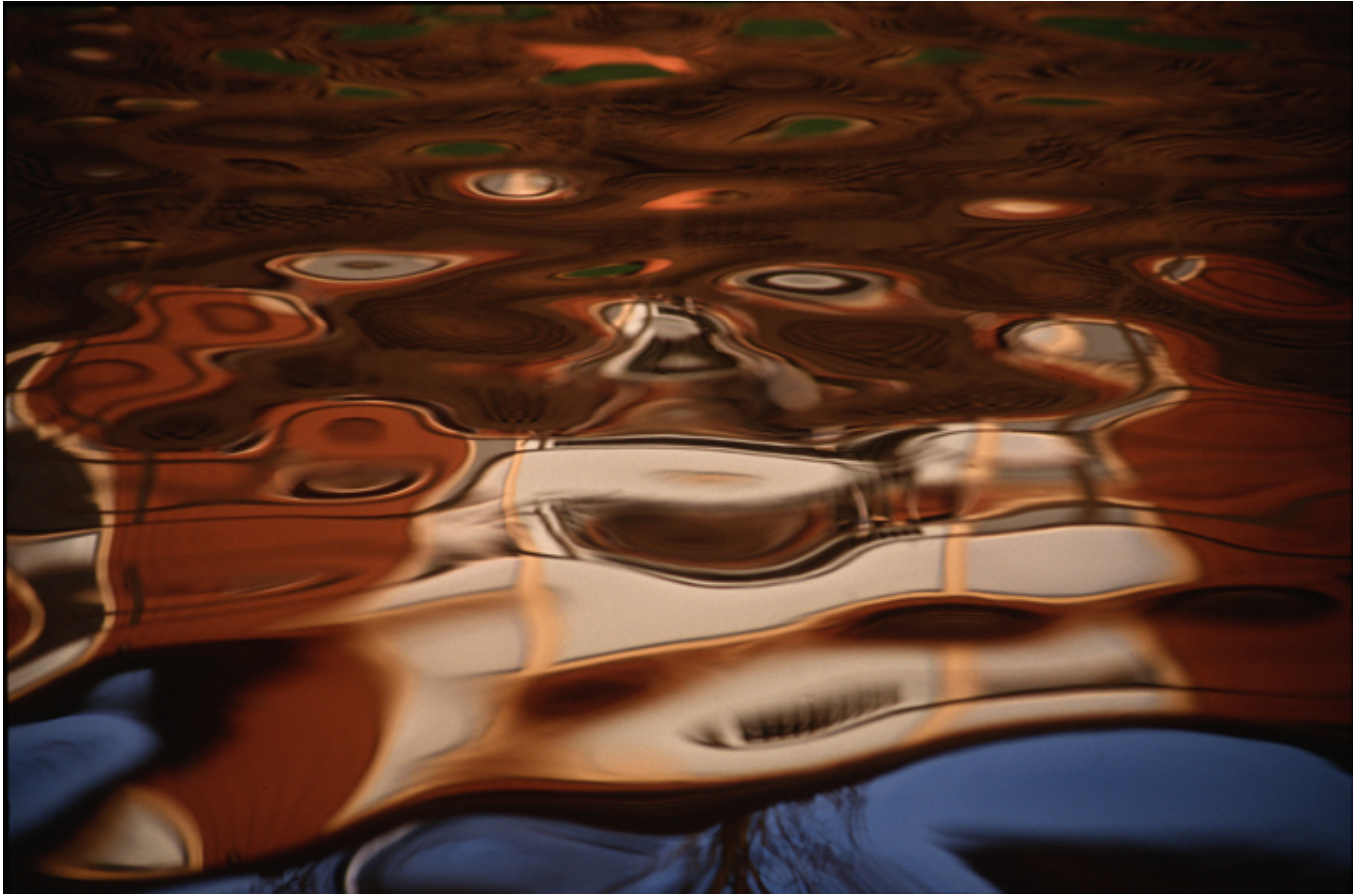
Joanna Sokołowska-Gwizdka



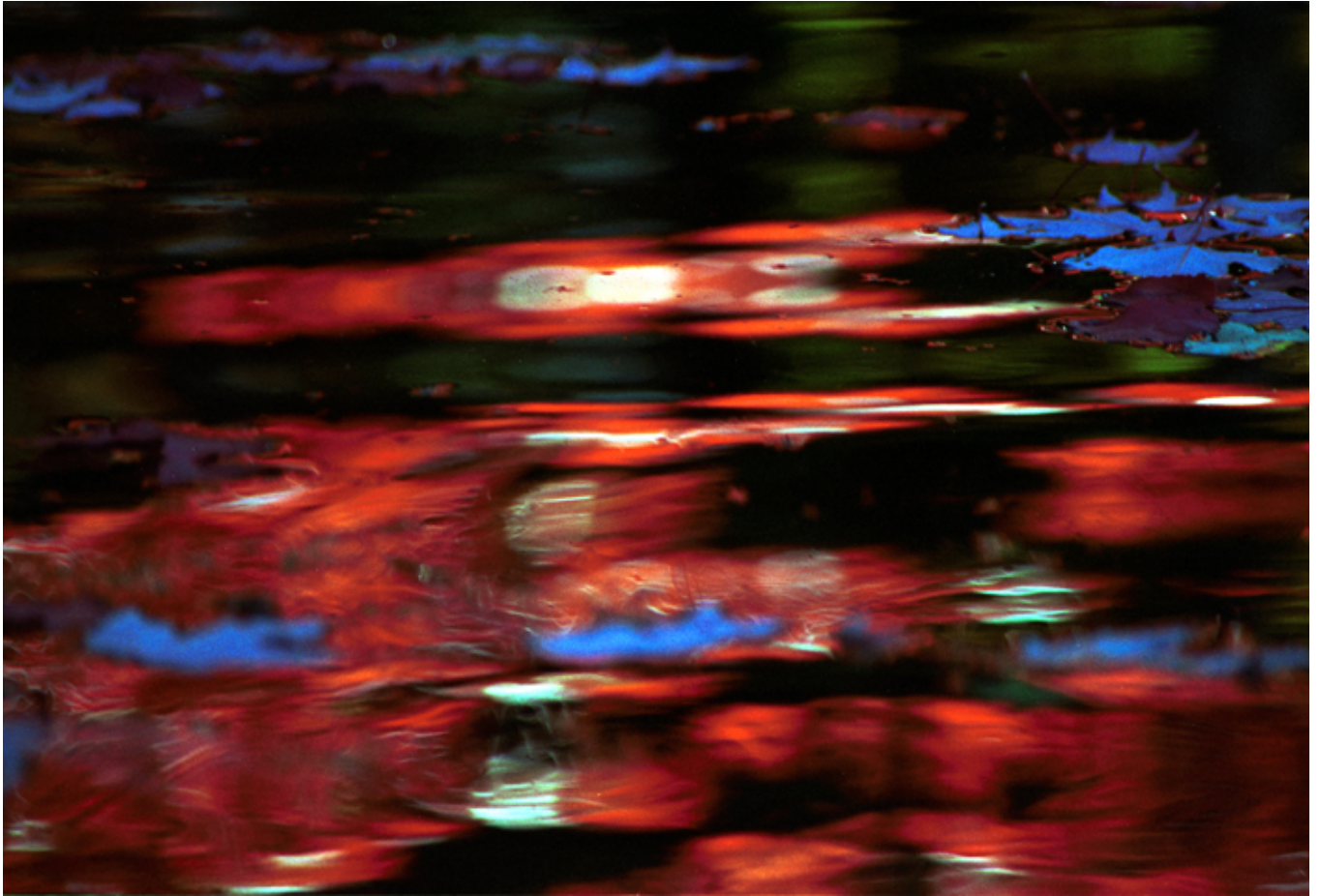
G a l l e r y

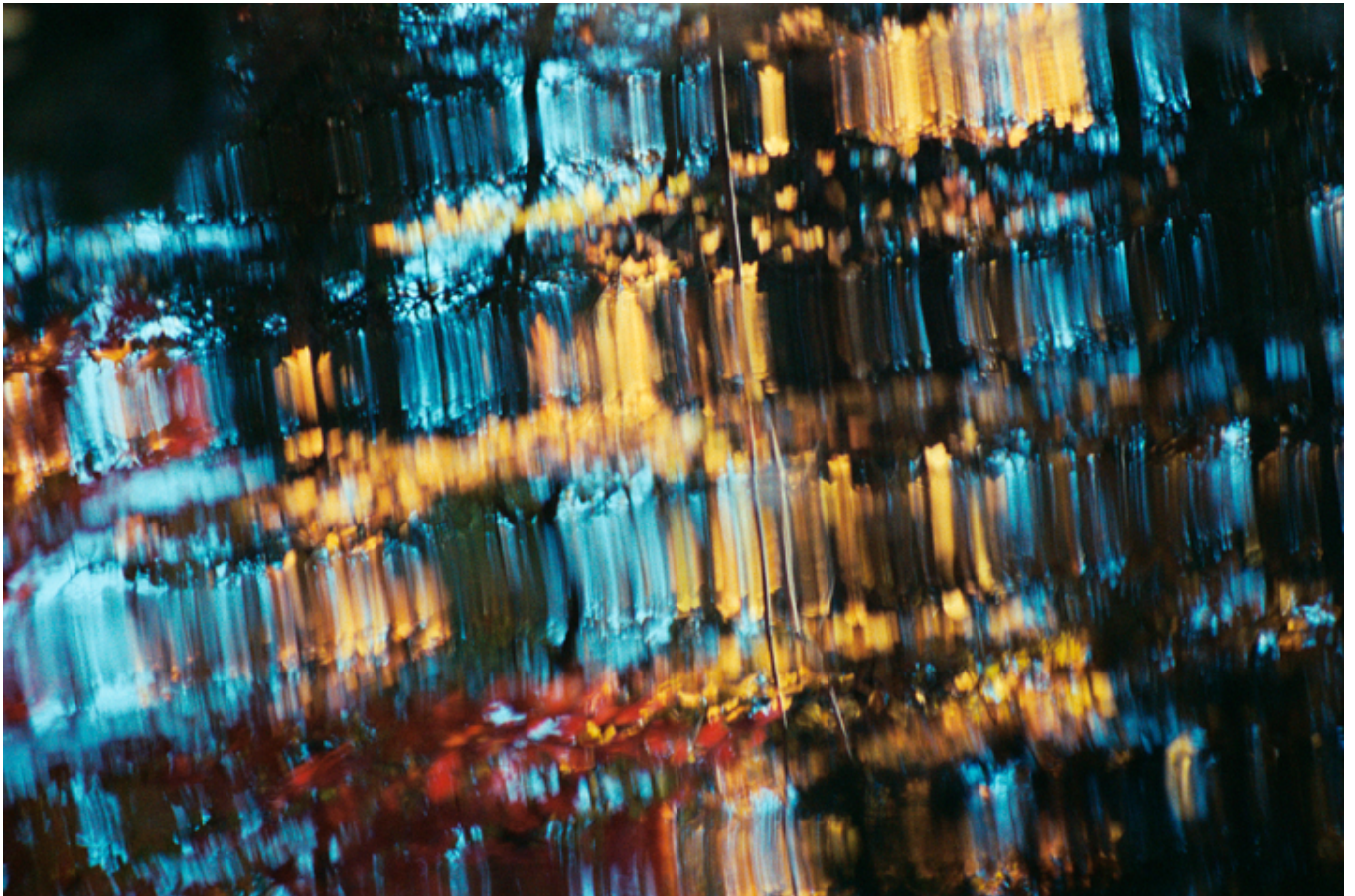


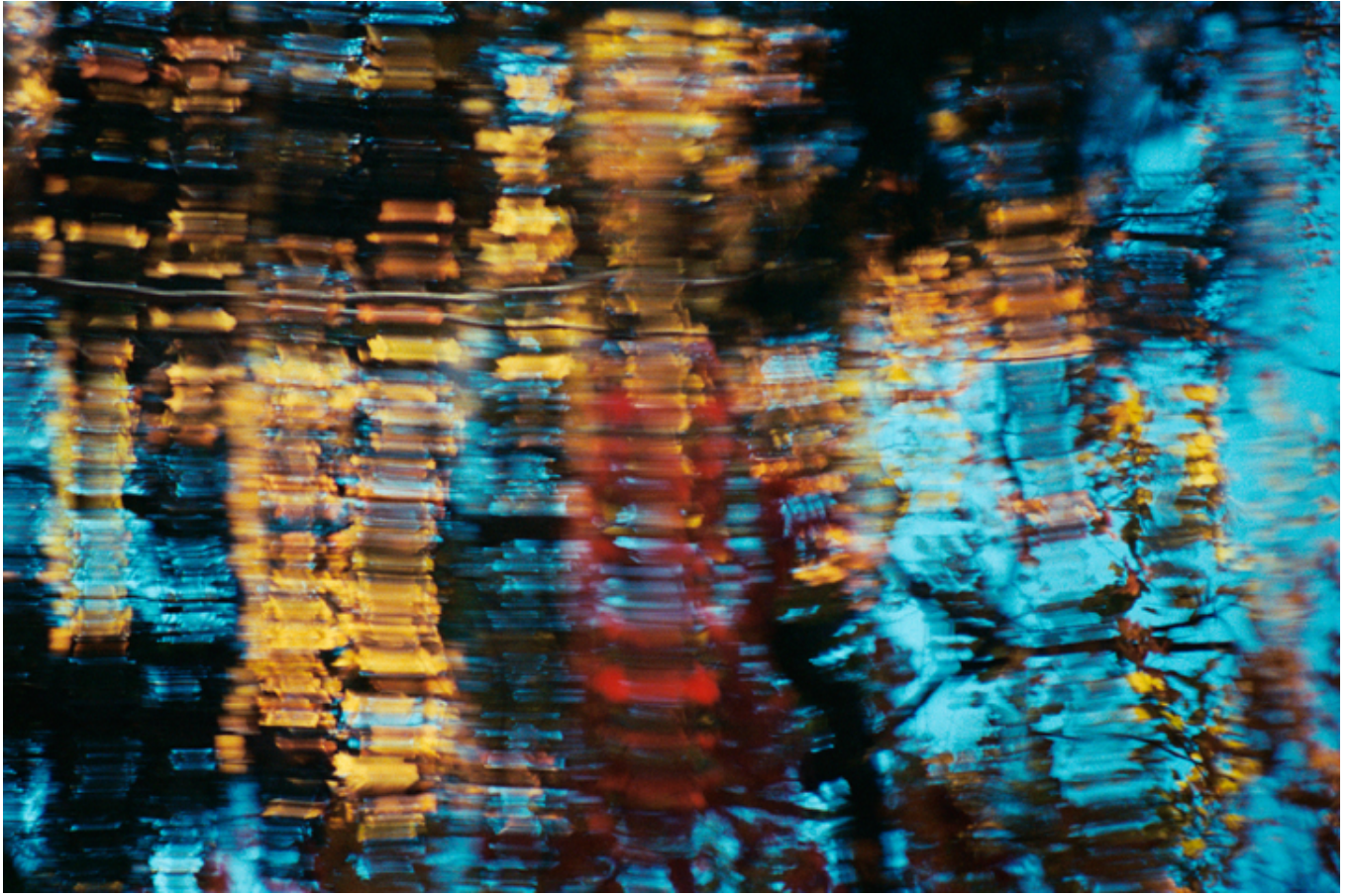








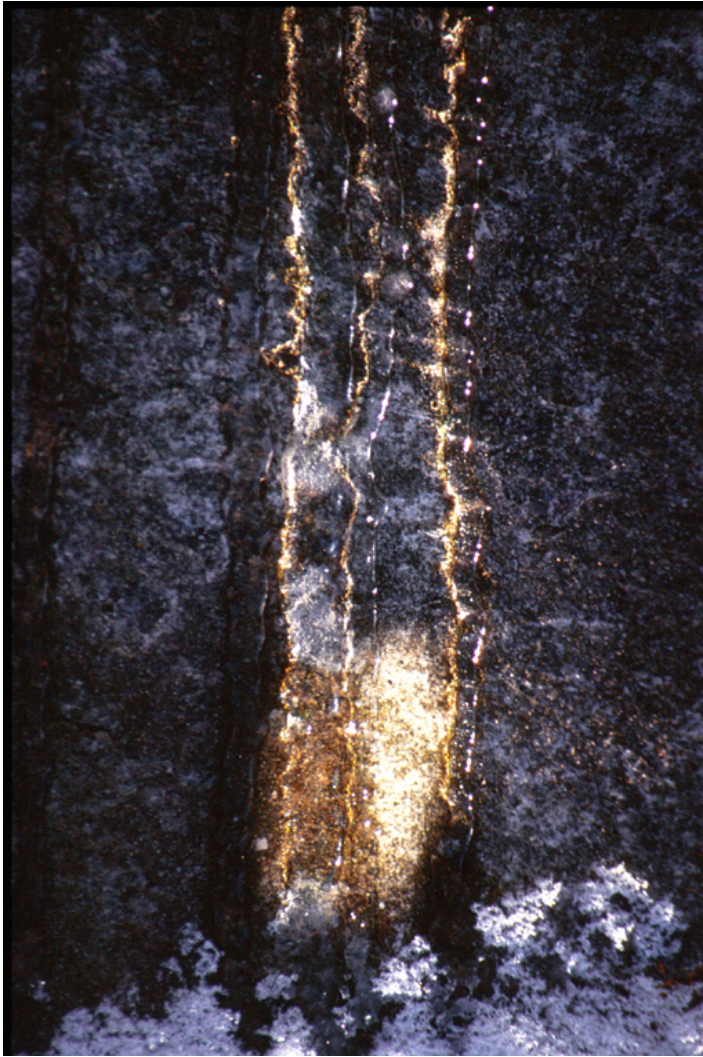






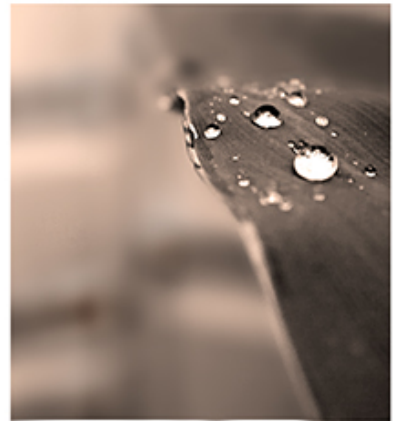


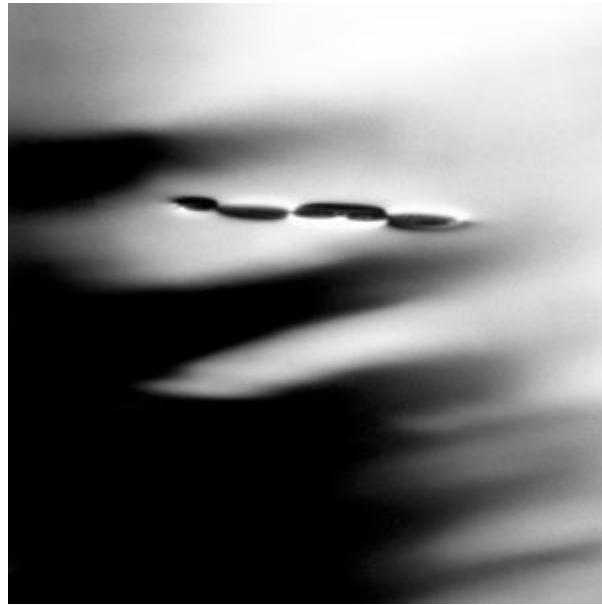












Cogitationes (latin) - reflections of light, thoughts, meditations. Aqua (latin) - water

More photography by Jacek Gwizdka „Ramis neuronis”:

<https://www.cultureave.com/ramis-neuronis-jacek-gwizdka-photography/>

All photographs Copyright Jacek Gwizdka. To purchase any of the photos, please contact the editorial staff.

Fredro w Szkocji



Garelochhead w Szkocji. Dawna pocztówka.

Florian Śmieja

Kiedy nasz samolot po wielogodzinnym locie dociera do celu, ogromną radość sprawia osoba, która pofatyguje się na lotnisko, by nas przywitać. Ponieważ zdarza mi się to rzadko, twarz

Miecia na warszawskim Okęciu świeciła jak słońce po długiej, mrocznej nocy. Nie szło o duże, ciężkie walizki i niekorzystanie z nachalnych, pazernych taksówkarzy tarasujących wyjście, o wiele ważniejsze były ciepłe, pierwsze wrażenia i kontakt z człowiekiem znanym, przychylnym i pomocnym.

Mietka odwiedzałem już przed laty w Detroit. Prowadził wzorowo laboratorium. Miał swoje kłopoty, zazdrości sfrustrowanych i zazdrosnych ziomków, nieporozumienia. Niekiedy był trochę na bakier ze zdrowiem. Ale wrodzony optymizm kazał mu nie przejmować się tym wszystkim i opędzić się od tych wszystkich niemądrych rodaków i Amerykanów.

Na emeryturę wrócił do Polski. Pod Warszawą kupił sobie dom i wraz z żoną wciągnął się w życie podstołecznego miasteczka. Miękkie serce sprawiło, że wnet oboje stali się przyjaciółmi okolicznych potrzebujących. Najbardziej hojni byli dla sierot, a św Mikołaj dla dzieci niepełnosprawnych stał się dla nich tradycją i wyczekiwany dniem.

Poznałem Mietka bodaj w 1946 roku w obozie wojskowym w Szkocji. Wojna w Europie się skończyła i aby mieć szansę na zatrudnienie i dobrze przygotować się do cywila, żołnierze zaczęli się garnąć na kursy gimnazjalne i licealne. W Szkocji w miejscowości Garelochhead, nad piękną zatoką blisko słynnego jeziora Loch Lomond, w tzw. beczkach śmiechu stacjonowało

perypatetyczne gimnazjum i liceum im. Juliusza Słowackiego.

Mietek, który chodził do niższej klasy, zjawił się jak znalazł, kiedy odchodząc musiałem zdać redakcję miesięcznika „Nasze Sprawy”. No nie była to żadna wielka rzecz, ot, kilkunastostronicowa powielana gazetka pisana na maszynie. Przynosiła różne teksty, często arcyważne, choć kącika humoru nigdy nie brakowało. Pewnego dnia, kiedy nie było ochotnika do pracy, a do pracy społecznej, niepłatnej zazwyczaj tłoku nie ma, przyszedł Miecio i przejął redakcję. Dziś nasze nazwiska na pożółkłych egzemplarzach archiwalnych świadczą dobitnie o dawnej współpracy i zgodnie leżą w archiwum prasy polskiej wydawanej pod różnymi szerokościami geograficznymi.



Uczynność Mietka miała się najpełniej objawić, kiedy zaistniała największa potrzeba. Szkoła długo przygotowywała się do wystawienia jakiejś klasycznej polskiej sztuki. Wybór padł na Aleksandra Fredrę, chciano pokazać jego „Dożywocie”. Rolę kobiecą powierzono dziewczynie, którą sprytnie wciągnięto z okolicy do współudziału. I wszystko szło dobrze, aż do momentu, w którym katecheta dowiedział się o kobiecie w szkole. Rozpętała się wielka burza. W krótkim czasie było wiele interwencji, akcji i kontrakcji. W rezultacie zapadła jednoznaczna decyzja: dziewczyna musi się wynosić i mowy nie było o tym, by miała zagrać w komedii.

Tyle więc przygotowań i nauki za jednym zamachem wzięło w łeb, z trudem wielkim klecona impreza dostała śmiertelny cios. Sprawa stała się beznadziejna. I wtedy wkroczył Miecio. Pomyślał i zaręczył, że załatwi problem. Radość zapanowała w obozie, kiedy rozeszły się wieści, że mimo wszystko sztuka będzie grana i że kobieca rola Rózi zostanie utrzymana.

Wieczorem sala była przepełniona. I to nie tylko dlatego, że lokalna miejscowość wielu atrakcji żołnierzom nie oferowała, ale że tę komedię, zapowiadaną z dawna i przez pewien czas zagrożoną, chcieli oglądać wszyscy. Główna para męskich protagonistów, Herzog i Maciejowski, zaczęła brylować na scenie z taką maestrią, że się koledzy pokładali ze śmiechu. I

wtedy pojawiła się Rózia. Najautentyczniejsza panienka, liryczna i kokieteryjna, ze swoimi niewinnymi minkami, ale i wyraźnymi insynuacjami. Ona wnet swoją kobiecą zaborczością zawojowała akcję i podbiła serca audytorium.

Nie pamiętam już, czy katecheta był na sali. Jeżeli był obecny to mógł się w pierwszych chwilach przerazić, że nie okazał się tak skutecznym młotem na heretyków, za którego się miał, że nie upilnował by szkoła nie była koedukacyjna. A na scenie ten głos rozlegający się z triumfem i te harce na podium.

Wreszcie ostatnia scena i nie kończące się brawa. Rozswawolona Rózia rzucała się na szyję aktorom, nie zważając na to, że była fotografowana. Niewiarygodna scena, nieprawdopodobna gra. Znakomitą Rózią okazała się być nie mniej ni więcej tylko Mieciem. Niezastąpiony, uczynny, znakomity aktor.

I tak nasz ojciec jezuita postawiwszy na swoim, stworzył nam jednopłciowy teatr jezuicki, ale jeżeli poczuł ulgę na widok chłopca w spódnicy, to może i te przebieranki nie mogły mu zbyt dobrze się kojarzyć.

Teatrzyk zamkowy w Łańcucie za pierwszego ordynata Alfreda Potockiego w latach 1816-1862.

Rody Polskie. Potoccy.



Teatr zamkowy w Łańcucie. Dokracja sceny zamknięta prospektem, fot. theatre-architecture.eu

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Badając dzieje rodziny Potockich w jej rodowej rezydencji w Łańcucie, „poznałam” niektórych jej przedstawicieli. W Łańcucie, w rodzinie Potockich, swoistym barometrem nastrojów, zainteresowań, tradycji czy patriotyzmu, była przepiękna, XVIII-to wieczna miniaturowa scenka, tzw. Teatrzyk Księżnej Marszałkowej, czyli Izabeli Lubomirskiej, która będąc niezwykle wykształconą i inteligentną, ceniła dobrą sztukę i wysoki kunszt artystyczny.

Po śmierci Księżnej Marszałkowej, poprzez małżeństwo pięknej

Julii, córki Marszałkowej z Janem Potockim, podróżnikiem i pisarzem (autorem „Rękopisu znalezionego w Saragossie”), Łańcut przeszedł na własność rodziny Potockich. Początkowo odziedziczonym majątkiem zarządzali wspólnie Alfred i Artur, synowie Julii z Lubomirskich i Jana Potockiego. Ale w 1822 roku bracia podzielili się dobrami. Po podziale majątku Alfred Potocki (urodzony w 1786 r. w Paryżu) otrzymał dobra łańcuckie oraz dobra lwowskie z pałacem w stolicy Galicji i ziemie na Podolu. Był już wówczas ożeniony z piękną Józefiną Marią z Czartoryskich (ślub odbył się w 1814 roku). Młodzi Potoccy czuli wokół ducha wielkiej babki, jej gust i zamiłowania. W pałacu pamiętano jeszcze wizyty, zaprzyjaźnionej z Księżną Marszałkową, królowej francuskiej Marii Antoniny (po której do dziś został w zamku pięknie malowany bidecik) i innych znakomitych gości, tudzież ciągle odbywające się koncerty, przygotowywane przez nadwornego kompozytora, Włocha Marcello Bernardiniego.



Alfred Potocki (1786-1862), pierwszy ordynat łańcucki, minatura Moritza Michaela Daffingera, zbiory Muzeum Albertina w Wiedniu.

Alfred i Jozefina Potoccy nie posiadali takiego zmysłu artystycznego, jak babka, Izabela Lubomirska. Owszem, lubili teatr i muzykę, lecz bardziej odpowiadał im łatwy, dostarczający rozrywki repertuar, niż ambitne dzieła wielkich twórców. Uczestniczyli w spektaklach profesjonalnych teatrów, wysyłali też do teatru guwernantki, o czym świadczą zapisy w księgach kasowych: „za bilety do Burgtheatru”, „zwrócono Jakóbowi za Teatr dla J.W. Pana”, „za bilety na teatr razy 2”, „na bilety do

teatru dla P. Adeli i drugiej Guwernantki z dyspozycji J.W. Pani”. Interesowali się bieżącym repertuarem teatralnym, regularnie płacąc za „noszenie Affiszów teatralnych”.

W zgromadzonym w tym czasie księgozbiorze dramatycznym, przeważają komedie o prostej konstrukcji i zabawnej puencie oraz wodewile, zdobywające coraz więcej wielbicieli na scenach paryskich i wiedeńskich. Ta duża ilość tekstów komediowych i wodewilowych kupowana była z myślą o scenie teatralnej, tym bardziej, że w Bibliotece Zamkowej zachował się także księgozbiór nutowy popularnych arii i arietek, pochodzących z tego okresu.

Po Kongresie Wiedeńskim w Galicji panowała atmosfera radości i zabaw. Często urządzano przyjęcia, na których jedną z atrakcji były amatorskie przedstawienia teatralne. Odwiedzano też rodzinę i sąsiadów. Brat Alfreda odziedziczył dobra krakowskie, a Kraków i okolice po Kongresie weszły w skład Rzeczypospolitej Krakowskiej. Alfred i Józefina Potoccy odwiedzali także Henryka Lubomirskiego (wychowanego przez Księżnę Marszałkową) w Przeworsku i Księcia Generała Adama Kazimierza Czartoryskiego – brata Izabeli Lubomirskiej, w Sieniawie. Czartoryscy przenieśli tu styl życia Puław, a więc i zamiłowania artystyczno – kulturalne.

Na dworze Czartoryskich przebywał wówczas jako guwerner i

nadworny literat Adam Kłodziński (1795-1858), absolwent słynnej szkoły Pijarów w Podolińcu, właściciel dóbr Jastrząbki w Tarnowskim, późniejszy dyrektor Biblioteki im. Ossolińskich we Lwowie. Przygotowywał on okazjonalne sztuki, wystawiane przez amatorski zespół. W jego „Komedii bez tytułu” bohaterowie wspominają wizyty Potockich w Sieniawie:

...jeszcze dziś w obecności wielu gości z Łańcuta, których tu czekamy z podwieczorkiem, mają się odbyć zaręczyny,

czy

...bytność nasza koniecznie potrzebna, (...) to miejsce przystroie na przyjęcie gości łańcuckich.

Adam Kłodziński zamieszkał potem w Łańcucie, aby w duchu patriotycznym wychowywać dzieci Potockich. Wykorzystywano go także dla potrzeb łańcuckiego Teatrzyku. Wśród pozostawionych przez niego rękopiśmiennych sztuk, znajduje się „fraszka w trzech aktach, napisana dla teatru łańcuckiego” pt. „Kochankowie w kłopotach”. Jak głosi notatka na pierwszej stronie, sztuka ta była grana 19 marca 1820 roku.

Jest to utwór o bardzo prostej konstrukcji i łatwej fabule. Opiekunowie młodych panien, chcą się z nimi żenić. Przeszkadzają im w tym, używając podstępu, dwaj kawalerowie. Sztuka oczywiście kończy się szczęśliwie.

Nikt z Potockich, ani z rodziny nie próbował w tej sztuce swoich teatralnych umiejętności. Występowali w niej aktualnie przebywający w zamku goście i służba. Sztukę reżyserował sam autor. O tym, że utwór napisany został jako scenariusz przedstawienia, świadczą obszerne didaskalia. Dowiadujemy się z nich, jakich użyto dekoracji, jak wyglądała scena. I tak w pierwszym akcie:

Teatr wystawia miejsce między trzema domami. Z jednej strony dom Barona, z drugiej Majora – w głębi dom Kaprysińskiej. W środku drzewo z ławką i stolikiem – w lewą rękę ciągnie się ogród, wspólnie do tych trzech domów należący, w prawą – między domem Barona i Kaprysińskiej – brama żelazna – w tyle widnieje mur, który całe terytorium otacza, z poza niego widać miasto.

Ponadto:

Teatr wystawia pokój, w środku drzwi główne – z lewej drzwi

boczne, po prawej stronie lampa, przed nią stolik, na którym pulpit z rysunkiem, papier i narzędzia do pisania – po lewej stronie fortepiano.

Jest to pierwsza znana sztuka, grana na łańcuckiej scenie po polsku i w polskich strojach. Adam Kłodziński wniósł do Łańcuta ducha polskiego.



Teatr zamkowy w Łańcucie, fot. Wrzesław Żurawski, 1985 r., arch. Joanny Sokołowskiej-Gwizdka.

W Łańcucie zatrudniano także muzyków, którzy zajmowali się

oprawą muzyczną przedstawień i organizowaniem koncertów. Marcello Bernardini (nadworny kompozytor Marszałkowej Lubomirskiej, zmarł w 1819 roku), Piotr Haensel i Mathias Ulman figurują w wykazach pensji. Zapiski archiwalne podają też, że w 1822 roku wypłacono trzymiesięczną pensję sześciu muzykantom. Domowe koncerty musiały odbywać się wtedy dość często, gdyż w księgach kasowych regularnie pojawiają się wydatki na strojenie fortepianu. Dbano o salę teatralną, o czym świadczą rachunki za naprawy, np. „Stolarzowi od robót pokojowych i w Teatrze”, „Za Bratnale do reperacji w Teatrze”, „Za postawienie Dachy nad Teatrem” itp.

Wspaniałym dokumentem życia w tamtym czasie w Galicji są pamiętniki Ksawerego Preka. Ze względu na kalectwo nie uczestniczył on czynnie w życiu towarzyskim. Był za to bystrym obserwatorem, a jego wspomnienia są istną skarbnicą wydarzeń i obyczajowych detali. Wspomina on różne imprezy artystyczne w Łańcucie, np. 1823 roku z okazji imienin Józefiny Potockiej, które trwały przez trzy dni (18, 19, 20 marca).

Dawano tamże charade Muzykant przez Kłodzińskiego ułożoną. – W pierwszym oddziale ukazały się muzy. Każda z nich odznaczając właściwy swój charakter, starała się użyć swojego talentu na uczczenie solenizantki. Ostatnia sylaba, domyśla się każdy, przedstawiała w zamyśleniu głębokim

znanego filozofa z rozwartą księgą. Całość szarady była równie wesoła, jak i ładna. Muzykant na skrzypcach grając od ucha wprowadził w skokach całą drużynę Krakowiaków, którzy jeszcze przyśpiewywali piosenki stosowne dla swej pani (19 marca).

Dawano tam także komedię polską, nowo napisana przez Kłodzińskiego (20 marca).

Imieniny pani Potockiej uczczono nie tylko sztukami polskimi. Wystawiono tu także operę Karola Marii Webera „Wolny strzelec”.

...pan Artur dawał koncert dla niej sprowadziwszy amatorów z pobliskich miasteczek w liczbie dwudziestu kilku, którzy bardzo ładnie grali operę Freyeschute i inne. – pisze dalej Ksawery Prek. – Potem popisywał się na fortepianie Kessler. Choć nie mogę sądzić o muzyce, ale przejęty byłem mimowolnie, nieznany ukontentowaniem, które na twarzach drugich widziałem.

Adam Kłodziński ze szczególną troską zajął się starszym synem Potockich – Arturem. Starał się wychować swojego ucznia w duchu patriotycznym, kształcił w nim zamiłowanie do polskiej

literatury i historii.

Plan jego wychowania – pisze Mieczysław Gębarowicz (M. Gębarowicz, „Wizerunki znakomitych ludzi w Polsce”) – obejmował obok obowiązkowych lekcji, zwiedzanie zabytków przeszłości, aby w ich obliczu wywołać przed oczyma ucznia świetne obrazy przeszłości.

W tym duchu Kłodziński pisał też okolicznościowe utwory sceniczne dla łańcuckiego teatru. Ksawery Prek zanotował, że 11 lipca 1829 roku

grano komedię polską pod tytułem (...) (napisaną) przez Kłodzińskiego. Pani z Lubomirskich Mniszchowa przedstawiała nam poważną obywatelkę średniego wieku. Autor przypominał owe czasy, gdzie za strojem polskim nosił każdy miłość Ojczyzny.

Kłodziński bawił się w układanie wierszowanej historii Polski. Jako przykład może posłużyć fragment operetki „Przyjazd pożądaný” napisanej dla teatru w Sieniawie.

Rotmistrz

Właśnie mi się wąż zasiewał

Gdy król Jan w swych rot szeregi

Chciwą sławy młodzież wzywał

Nad Dunaju spiesząc brzegi.

Ja okrywszy skroń szyszakiem

I przywdziawszy Oyców zbroje

Tocząc dzielnym swym rumakiem

Takżem ruszył na te boje.

Padł poganin zwyciężony

Polak – okrył się zwycięstwem

Wiedeń wyznał zadziwiony

Że ocalał naszym męstwem.

Niwy Rusi i Podola

Lądy Zbruża, Dniestru skały

Lwów, Jazłowiec, Żwańcu pola

Świadkiem naszych dzieł i chwały.

Bujne życie towarzyskie Łańcuta, urozmaicone przedstawieniami teatralnymi i imprezami muzycznymi, prawie zupełnie zanikło po 1830 roku, w związku z żałobą narodową i represjami po upadku powstania listopadowego. Nastąpił też gwałtowny spadek zakupów dla Biblioteki Zamkowej, a w Inwentarzach nie widnieją wydatki związane z utrzymywaniem muzyków, czy organizacją przedstawień.



Zamek w Łańcutie, fot. lancut.pl



Zamek w Łańcucie, fot. lancut.pl

Staraniem Alfreda Potockiego w 1830 roku powstała ordynacja łańcucka, z zasadą niepodzielnności, niezbywalności i nieobciążalności dóbr. Ich dziedzicem mógł być wyłącznie najstarszy syn ordynata. W przypadku wygaśnięcia rodu połowa majątku miała być przeznaczona na wsparcie uczącej się młodzieży, a druga dla wojskowych w stanie spoczynku. Alfred Potocki – pierwszy ordynat Łańcuta, zajął się odtąd głównie gospodarowaniem w ogromnym majątku. Stał się jednym z pionierów nowoczesnego rolnictwa galicyjskiego. Sprowadzał maszyny rolnicze, niektóre sam projektował. W Łańcucie miał gorzelnie, młyny, browar, rafinerię spirytusu, garbarnie itd.

W 1834 roku w rodzinie Potockich wydarzyła się tragedia. Zmarł najstarszy syn, Artur, przeznaczony do odziedziczenia ordynacji. Odszedł też jego nauczyciel, Adam Kłodziński. Od tej pory w księgach kasowych z rzadka pojawiają się wpisy świadczące o zapraszaniu zawodowych muzyków.

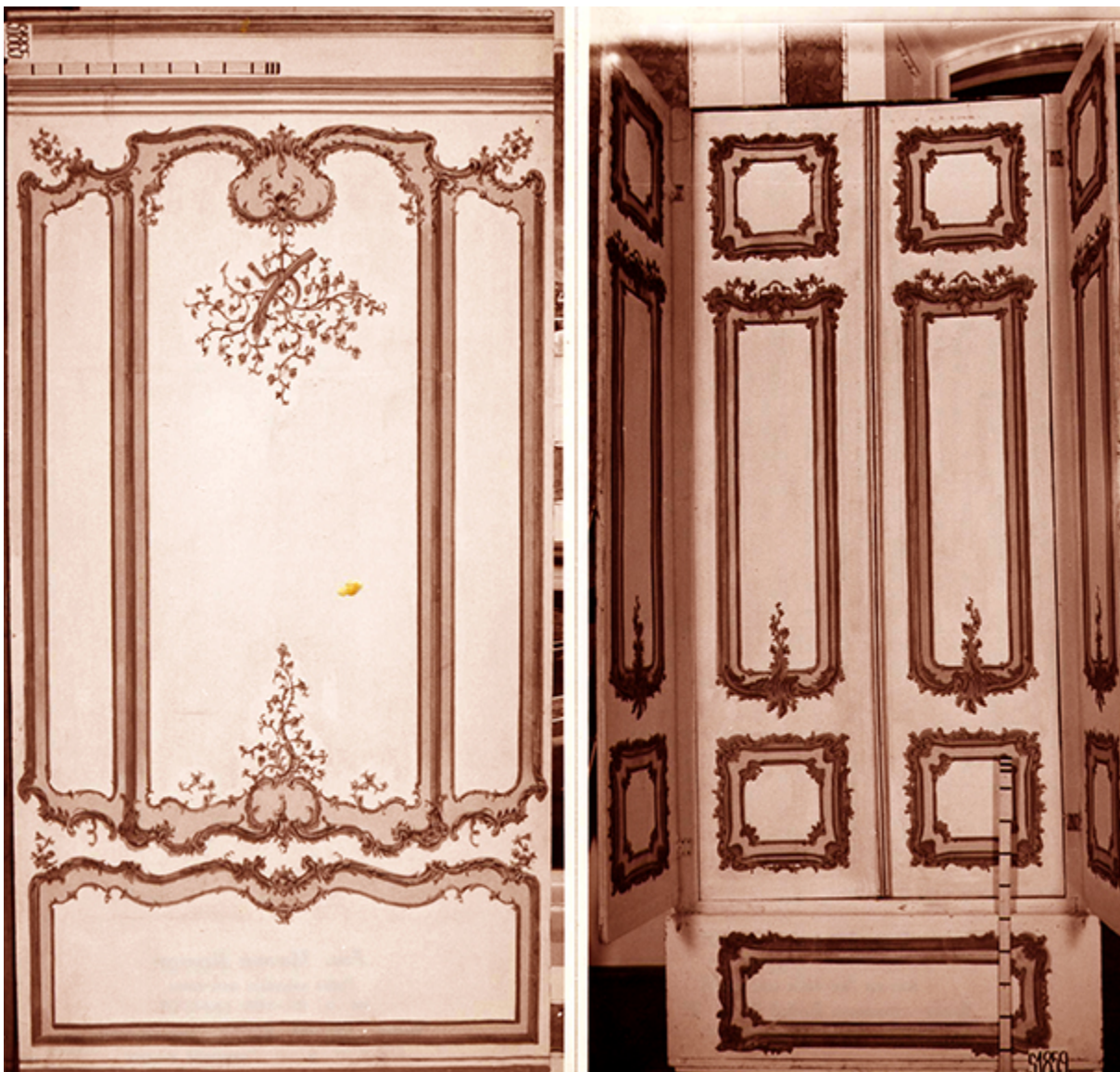
Alfred Potocki pełnił wiele funkcji państwowych nadanych przez Wiedeń w tytularnym królestwie Galicji i Lodomerii. Wiązało się to też z różnymi okolicznościowymi imprezami w Łańcucie. Ksawery Prek wspomina, że w sierpniu 1839 roku uroczyste obchodzono poświęcenie chorągwi pułku kirasjerów pod nazwą księcia Franciszka Modeny.

Alfred hr Potocki wszelkie zrobił przygotowania na przyjęcie tych wysokich gości, jako to księcia panującego Modeny, syna jego Ferdynanda i arcyksięcia Ferdynanda, gubernatora Galicji.

Uroczystość ta odbyła się z ogromnym przepychem. Ordynat starał się pokazać w jak najlepszym świetle. W pałacu dano wielki obiad, na który zaproszono cały korpus oficerów. Po obiedzie urządzono wyścigi konne. Potem zaproszono gości do folwarku Wola Bliższa niedaleko Łańcuta.

Dawano (tam) w altanie herbatę, gdzie w narodowym ubiorze dwa wiejskie wesela się odbywały.

Możliwe, że około 1840 roku wystawiono w łańcuckim teatrze sztukę Aleksandra Dumasa „Henryk III” i to prawdopodobnie w polskim przekładzie znanego wówczas dramaturga J.T.S. Jasińskiego. W bibliotece zamkowej zachował się bowiem egzemplarz francuskiego utworu, przygotowywany do amatorskiej realizacji scenicznej, o czym świadczą liczne marginalia. Dokonano też skrótów i przeróbek. „Katarzyna z Kliwii” to zmieniony tytuł utworu (z polską pisownią). Prawdopodobnie chciano uwypuklić tę postać i uczynić z niej główną bohaterkę. Dwudziestojednoosobowa obsadę zmniejszono do jedenastoosobowej. W tekście pojawiają się dodatkowo wskazówki reżyserskie np. „dama zawoalowana wchodzi” (tak zaczyna się sztuka). Akt I zmniejszono o scenę VI i VII. Notatka na marginesie – wyrzucony cały akt II. Znalazła się też notka – „wiersz chyba opuszczony”. W wyniku tych zabiegów z utworu pięcioaktowego, zrobiono trzyaktowy. Do tego są liczne podkreślenia. Dramat został więc wyraźnie zamieniony na scenariusz teatralny.



Teatr zamkowy w Łańcutcie, fragment dekoracji teatralnej, fot. arch. Joanny Sokołowskiej-Gwizdka.

Po 1840 roku nastąpił zupełny zanik życia kulturalnego. Rzadko zapraszano gości, sala teatralna była prawie nieużywana.

Inwentarz Zamku Łańcuckiego, spisany w 1862 roku (wykorzystujący dane z Inwentarzy z 1854 i 1855 roku) podaje:

Wróciwszy do sali paradowej, wchodzi się z tejże przez drzwi kryte, zwierciadłem wyłożone do Teatru – to jest Sali dawniej

na teatr przeznaczonej, w której wszelkie urządzenia sceniczne, jakoteż na pomieszczenie widzów znajdują się.

Przy opisie garderoby teatralnej zaznaczono:

Ponieważ jest takowa przez starość sterana, więc nie opisuje się jej sztukami pojedynczo, lecz ryczałem (...). Oprócz są jeszcze różne suknie płócienne różnego koloru i inne przybory, lecz już w tak złym stanie i zniszczone, iż szczegółowej wzmianki o nich czynić, nie uznano potrzeby.

Źródła:

- Archiwum Główne Akt Dawnych w Warszawie, teka Potockich z Łańcuta.
- Materiały archiwalne, Biblioteka Zamkowa w Łańcucie.
- Teki księdza Franciszka Siarczyńskiego, Ossolineum, Wrocław.
- Literatura pamiętnikarska z epoki.
- Joanna Sokołowska, Teatr i życie teatralne na zamku w Łańcucie XVI-XX w., praca magisterska pod kierunkiem prof. Jerzego Starnawskiego, Uniwersytet Łódzki, maszynopis.

Polska historia na światowych rynkach księgarskich. „Garden of Venus” Ewy Stachniak.

Rozmowy o książkach, które nie przemijają

W 2005 roku ukazała się na kanadyjskim rynku wydawniczym (po wydaniu w Londynie) książka Ewy Stachniak - *Garden of Venus*. Fabuła powieści oparta jest na polskich wątkach, a jej akcja toczy się na przełomie XVIII i XIX wieku. W *Garden of Venus* pojawiły się tematy spotkania kultur, weryfikacji mitów, spojrzenia na siebie i

własną przynależność narodową. Bohaterowie to: Thomas Lafleur, Francuz, chirurg, który jako lekarz przeszedł kampanię napoleońską, Rosalia, córka oficera Legionów oraz Piękna Bitynka, Greczynka, która wspaniale radziła sobie w polsko-rosyjskiej rzeczywistości XVIII wieku, czyli Zofia Celice-Clavone (Glavani) vel de Witt - Potocka, umierająca w Berlinie w 1822 roku na raka.



Ewa Stachniak, fot. arch. Ewy Stachniak.

Joanna Sokołowska Gwizdka:

Dlaczego pierwsze wydanie książki ukazało się najpierw w Londynie w wydawnictwie HarperCollins?

Ewa Stachniak:

Pierwszą ofertę otrzymałam właśnie od londyńskiego wydawcy, a HarperCollins w Kanadzie kupił powieść w kilka tygodni później. Potem doszły różnice w cyklu wydawniczym. Obie firmy, choć działające niezależnie, często ze sobą współpracują, i to uprościło bardzo prace edytorskie nad końcową wersją mojej powieści. Pracowałam z Susan Watt, znaną londyńską redaktorką, która redagowała m.in. *Dziewczynę z perłą*. Cieszę się, że spodobał jej się mój *Garden of Venus*, podobały jej się powołane przeze mnie postacie, relacje między nimi i cała fabuła. Jej komentarze edytorskie były dla mnie bardzo cenne. Susan Watt to czytelnik inteligentny i wrażliwy, i jeśli ona mogła pogubić się w pewnych fragmentach historycznej narracji, był to dla mnie znak, że muszę raz jeszcze przeczytać ten fragment i wyjaśnić historię, uzasadnić motywy.

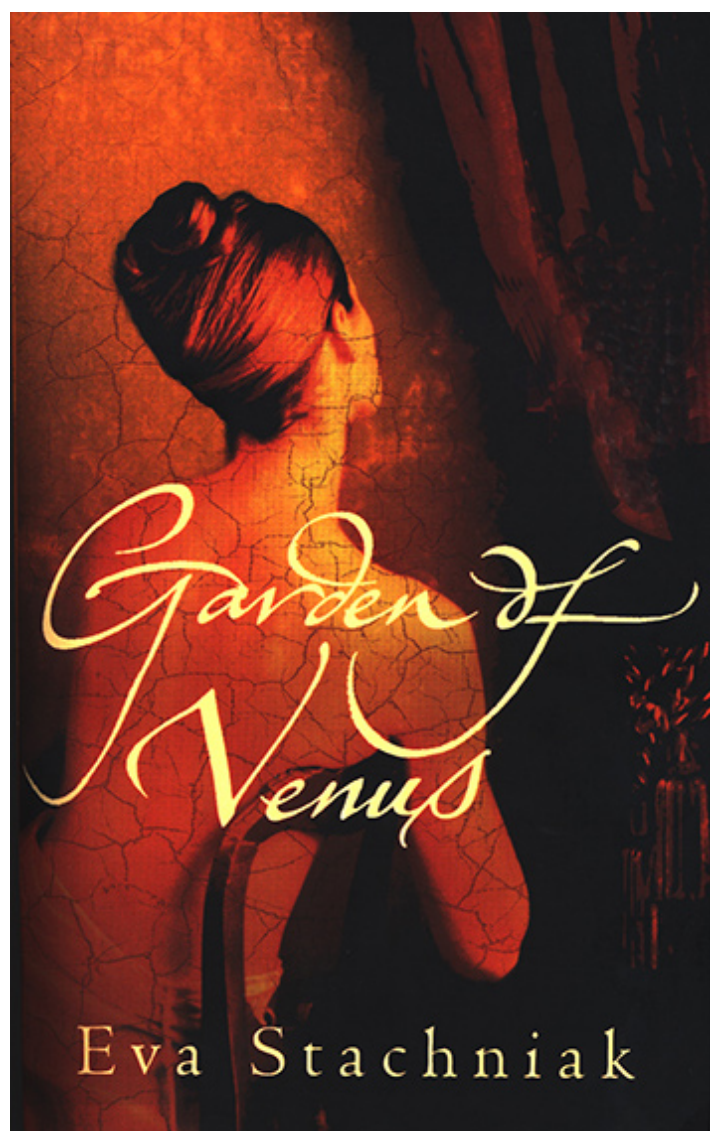
Dla angielskojęzycznego czytelnika, nie mającego wiele wspólnego z Polską, historia tego okresu może być dość skomplikowana.

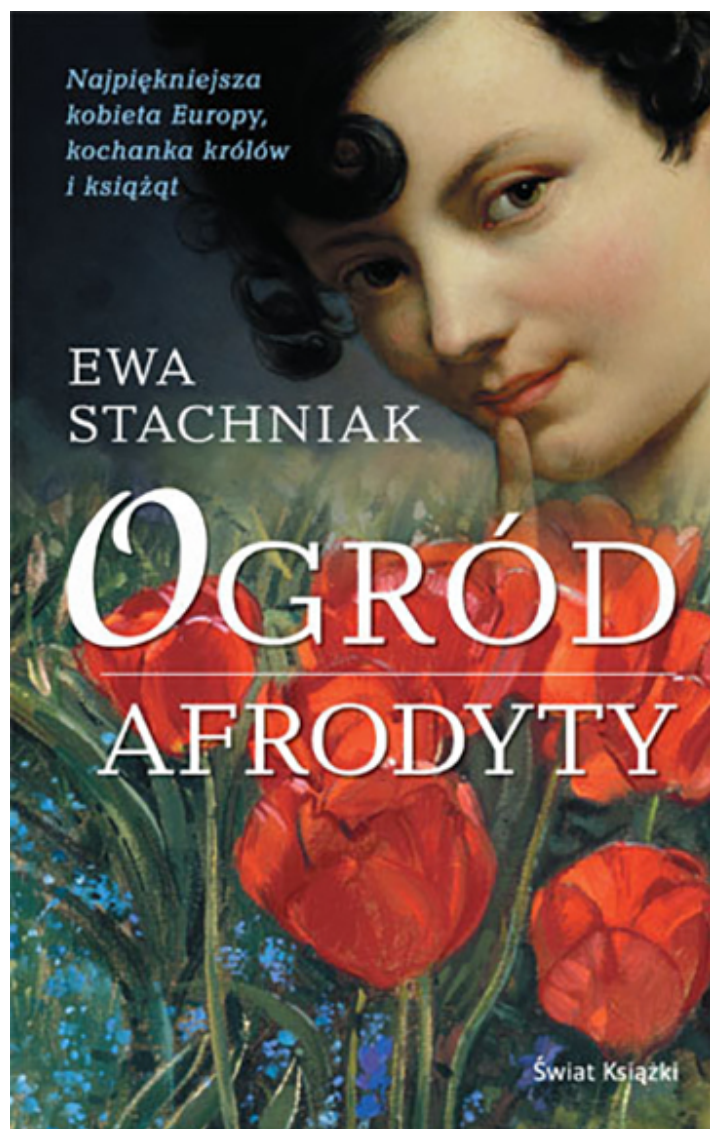
Tak, bo mówimy o Polsce XVIII i XIX wieku, mówimy o zaborach, powstaniu kościuszkowskim, potem o okresie napoleońskim i Księstwie Warszawskim. Polska historia jest rzeczywiście bardzo skomplikowana, szczególnie pod względem geopolitycznym. Tereny, zagarnięte przez Rosję, po kolejnym rozbiore nagle stają się austriackie, ziemie leżące na terenie Księstwa Warszawskiego, wchodzi do zaboru rosyjskiego. My, Polacy, te wszystkie zawiłości historii znamy, ale dla czytelnika angielskojęzycznego rozbiory i ich konsekwencje to terytoria nie do spenetrowania bez przewodnika wkompowanego w fabułę powieści. Susan pytała np., czy jeżeli bohaterka mieszka w Humaniu, to czy mieszka w Polsce, w Rosji czy na Ukrainie? Musiałam jej wytłumaczyć, że najpierw pani Potocka mieszkała w Polsce, potem w Rosji, ale zawsze na Ukrainie. I tak powoli, powoli rozsypywałyśmy te narodowościowo-geograficzne zawiłości. A było ich sporo.

Pani powieść rozgrywa się w dwóch historycznych czasach, czasie rzeczywistym czyli w 1822 roku i w czasie przeszłym, pojawiającym się w retrospekcjach.

Akcja powieści rozgrywa się w przeciągu kilku tygodni w Niemczech w 1822 roku. Zofia Potocka w drodze do Paryża zatrzymuje się w Berlinie. Jest ciężko chora na raka, nie jest w stanie dalej jechać i tam umiera. Ale podczas gdy Zofia sięga pamięcią do sułtańskiego haremu w Istambule, salonów Marie-

Antoinette i amatorów Potiomkina, inne postacie wspominają czasy powstania chłopskiego na Ukrainie, Insurekcji Kościuszkowskiej, marszu Napoleona na Moskwę i rozczarowania po napoleońskiej klęsce. Oczywiście powieść nie jest podręcznikiem historii. Historia jest tylko tłem dla ludzkich dramatów, które zaskakują i wciągają czytelnika.





Zofia - w powieści postać fikcyjna, wzorowana jest na konkretnej osobie - Zofii Potockiej, słynnej żonie Szczęsnego Potockiego. Czy inne postacie też mają konkretny pierwowzór?

Zofia nie jest jedyną bohaterką *Garden of Venus*. Oprócz postaci nakreślonych w oparciu o dokumenty historyczne, są też w mojej powieści postacie czysto fikcyjne, których losy są tłem i kontrastem dla losów Zofii. Jej dama do towarzystwa, a w

ostatnich miesiącach życia pielęgniarka, Rozalia, jest dziewczyną, której rodzice zapłacili najwyższą cenę za narodowe ideały i która szuka dla siebie miejsca w często nieprzyjaznym dla siebie świecie. Przy hrabinie Potockiej jest także francuski chirurg, który ma za sobą napoleońską kampanię oraz tragiczne doświadczenie żołnierskiego życia i okrucieństw wojny. Nie podziela napoleońskich sentymentów otaczających go Polaków, choć ma dla Polski i Polaków dużo sympatii. Ci inni bohaterowie mają wiele pierwowzorów. Żeby stworzyć portret Rozalii czytałam pamiętniki i listy z tego okresu, wydarzenia z jej życia są echem wydarzeń które spotkały inne osoby. Aby powstała postać Tomasza, studiowałam wspomnienia chirurgów, którzy przeszli kampanię moskiewską u boku Napoleona.

Tworzenie świata fikcji, opartego na autentycznych przeżyciach, musi być szalenie ciekawe. Fantastycznie jest móc kierować swoimi bohaterami, ulżyć im w bólu, przyspieszyć spotkanie, przewidzieć konsekwencje itd.

Postać fikcyjną można stworzyć na przykład dając jej pewne wspomnienia z dzieciństwa, wyposażyć w takie czy inne cechy charakteru. Gdy postać zaczyna żyć własnym życiem, pisarz musi szanować jej wybory. Jest to dość długi proces wchodzenia w wykreowaną przez siebie osobę i stworzenia jej właściwej rzeczywistości, dzieciństwa, młodości, przeżyć i myśli. Przy tworzeniu postaci Tomasza – francuskiego chirurga – musiałam

wymyśleć dla niego dzieciństwo spędzone na ulicach Paryża podczas Wielkiej Rewolucji, jego rodziców, dziadków.

Czy aby stworzyć tę postać, zapoznawała się pani z wiedzą medyczną tego okresu?

Tak. Tworząc postać Tomasza, napoleońskiego chirurga, musiałam być pewna jaką wiedzą medyczną, jakimi środkami dysponował, jakie poglądy wyznawał. Musiałam zdecydować jak traktował pacjenta, kiedy gotów był na operację, a kiedy mógł uznać stan pacjenta za beznadziejny.

Tu wielkie podziękowanie należy się internetowemu forum dyskusyjnemu historyków medycyny – *Caduceus*. Gdy miałam jakiekolwiek pytania, np. jakie jest prawdopodobieństwo, że lekarz w 1822 roku poda pacjentce morfinę, wysyłałam je w cyberprzestrzeń i czekałam. Często już po kilku minutach otrzymywałam odpowiedź, że w 1822 roku, paryski lekarz zainteresowany nowościami medycznymi mógł użyć morfinę.

Wszystko, co się zdarzyło w tej książce nie musiało, ale mogło się zdarzyć.



Ewa Stachniak podczas wieczoru autorskiego w Konsulacie Rzeczypospolitej Polskiej w Toronto, 2005 r., fot. J. Sokołowska-Gwizdka.



Ewa Stachniak podczas wieczoru autorskiego w Konsulacie Rzeczypospolitej Polskiej w Toronto, 2005 r., fot. J. Sokołowska-Gwizdka.

Skąd pomysł na tytuł powieści, czy miała pani taki zamysł od początku, zajmując się postacią Pięknej Bitynki, czy też tytuł powstał z czasem?

Tytuł zasugerowała moja agentka. Myślałam nad „Ogrodem Zofii” tzn: „Sophie’s Garden”, ale wydawcy obawiali się że zbyt mocno będzie kojarzyć się z „Sophie’s Choice.” Została więc

„Wenus”, lub „Afrodyta”.

Forma powieści, przy zachowaniu wielu detali zgodnych z epoką, jest wspaniałym pretekstem do przekazania dużej ilości informacji z dziejów Polski i przybliżeniu polskiej historii szerokiemu gronu.

Losy pięknej Greczynki, są punktem wyjścia do mojej kolejnej próby odpowiedzi na pytanie “Skąd jesteś?” pytanie, które często zadaje się przybyszom do Kanady. W mojej pierwszej powieści, *Necessary Lies (Konieczne Kłamstwa)*, odpowiadałam, jestem z Wrocławia, miasta o podwójnej historii, polskiej i niemieckiej. Jestem z kraju, w którym tożsamość uwarunkowana jest pamięcią ostatniej wojny, w którym odkrywamy zapomniane pokłady naszej historii, w którym ciągle rozliczamy się z przeszłością. W *Garden of Venus* opowiadam historię utraty niepodległości, ceny jaką trzeba było za tę utratę zapłacić. Opowiadam historię polskich rozczarowań i nadziei. Historię czasów trudnych, ciągle naszych, ciągle przypominających o swoim istnieniu, historię która nas uformowała i na którą warto jeszcze raz popatrzeć, teraz, kiedy ta wymarzona niepodległość znów jest nasza.



Ewa Stachniak (z prawej) i Joanna Sokołowska-Gwizdka podczas wieczoru autorskiego w Konsulacie Rzeczypospolitej Polskiej w Toronto, 2005 r., fot. Jacek Gwizdka.

Zofia Celice-Clavone, Greczynka w wieku 17 lat została sprzedana przez matkę Karolowi Boscampowi, ministrowi polskiego króla. Później została żoną Józefa Witta, komendanta kamienieckiej twierdzy, a w 1798 roku wyszła za mąż za Szczęsnego Potockiego. Stanisław Szczęsnny był wojewodą ruskim i generałem w armii rosyjskiej. Pierwsza jego żona,

Gertruda Komorowska, zginęła tragiczną śmiercią, z drugą zaś, Józefiną z Mniszchów, matką jego jedenaściorga dzieci, rozwiódł się, aby poślubić właśnie piękną Zofię, która odkupił od Jozefa Witta.

Zofia odznaczała się wyjątkową urodą, inteligencją i... brakiem skrupułów. Podróżowała wiele po Europie i została kochanką hrabiego Prowansji, późniejszego króla Ludwika XVIII, a także faworyta Katarzyny Wielkiej, księcia Potiomkina. Potockiemu, nim jeszcze stała się formalnie jego żoną, urodziła trójkę nieślubnych dzieci, które zmarły. Później została faworytą carskiego gubernatora Nowosilcowa. Po śmierci Potockiego sądziła się z dziećmi Mniszchówny i dla swoich dzieci wywalczyła olbrzymią fortunę.

Jej syn Mieczysław wyrokiem sądu został właścicielem rodzowego Tulczyna. Stosunki pomiędzy matką i synem po jakimś czasie uległy jednak zmianie i Zofia ogłosiła publicznie, iż jej pierworodny syn nie jest potomkiem Szczęsnego, lecz weneckiego bandyty Caracoli'ego. Mieczysław odpowiedział także publicznie, że „być może i rozbójnik wenecki miał z matką stosunek i nie przeczę, że mogę być z niego zrodzony. Skoro jednak Stanisław Szczęsny Potocki uznał mnie za własnego syna i chrztem potwierdził to uznanie, jestem sukcesorem wydzielonego mi majątku, do którego nikt prócz mnie nie ma prawa”. Rozwścieczony taki postępowaniem matki, wyrzucił ją z

domu, a sprawa oparła się aż o dwór carski. Doszło do pozornej zgody, ale pod naciskiem Nowosilcowa car wcielił Mieczysława do swojej gwardii. Mieczysław Potocki uciekł wkrótce z Petersburga i zjawił się u Delfiny Komarówny, aby prosić ją o rękę.

Kolejną książkę p.t. „Dysonans” Ewa Stachniak poświęciła synowej Zofii Potockiej – Delfinie z Komarów Potockiej.